

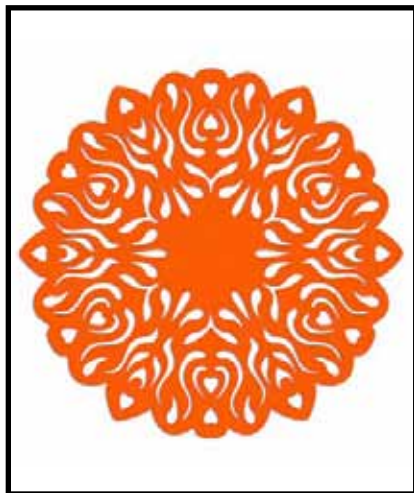
gazet owia

NR 12(32)/2013
ISSN 2084-6932

Rodzina



012



004

OD REDAKTORA

Joanna Wroczyńska

006

DROGOWSKAZY

kierunek EGO

Kolejne małżeństwo (...)

Agnieszka Czapczyńska

kierunek BIZNES

Dobrze zacząć biznes

Jarosław Stankiewicz

kierunek PRAWO

Katarzyna Galicka odpowiada (...)

020

BEZKRESY

Kaukaz (...)

Waldemar Ławecki

024



024

NA PAPIERZE

Miłość jest w stanie zbudować most

Kasia Bartsch-Cielebon

028

CHOPIN WIECZNIE ŻYWY

Samotność Chopina

Piotr Mysłakowski

036

OPOWIADANIE KONKURSOWE

Życie to nie teatr

reno I 4

038

CZAS NA CZAS DLA NAS

Po 3 pieczemy pierniczki

Grażyna A. Rogala

056



040

Poezja codzienności (...)

Dorota Kotowicz

045

NA ZDROWIE

Ewelina Penconek

048

WYWIAD

W rodzinie nic nie ginie

Kasia Bożyk

052

WIEDŹMA

powieść w odcinkach cz. XXIV

Kasia Bartsch-Cielebon

058



058

ZAKŁADKA

Ucieczka na manowce

Diagnoza: samotność

Agata Wiśniewska

Życ jak w Bullerbyn

Karolina Kapusta

061

Wielka rodzina chińskich (...)

Kaxia E. Kowalewska

064

BAJKI NOWE

Sonet oszołomiony

Anna Bałchucka

066

ŻAK

Pelo

Paweł Radzko

068



068

Na dulszczyźnie

Monika Mikołajek

069

Z rodziną tylko na zdjęciu

Karolina Kapusta

070

SZORT MAT

Whispering gallery mode

Justyna Piwowar

076

BABEL

Freerics Spiel-Gsäfte

Von Piotr Mysłakowski

MYTRAVELS / MOJE PODRÓŻE

Rapperswil - The City of Roses part II

Rapperswil - Miasto Róż cz. II

Agnieszka Thomassen

Wydawca

Stowarzyszenie PI-stacja

Stowarzyszenie Pi-stacja

biuro@pi-stacja.org

gazetownia@pi-stacja.org

www.gazetownia.eu

Dział zagraniczny Babel

Beata Witkowska

info@gazetownia.eu

Zespół Redakcyjny

Katarzyna Bogucka

Joanna Dudek- Ławecka

Joanna Wroczyńska

Jolanta Wroczyńska

Foto

Katarzyna Bogucka

Waldemar Ławecki

Marek Pływaczyk

Artur Radzko

Agnieszka Thomassen

Joanna Wroczyńska

Ilustracje

Aleksander Bogucki (okładka,
pingwin)

Mintoft (logo Chopin)

Paweł Siwochowicz (wiedźma)

Opracowanie graficzne i skład

Agnieszka Maślanka

Współpraca techniczna

Agnieszka Betkier

Patronat Medialny

Plstacja Media

Wydawnictwo zastrzega,
iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych
w piśmie Gazetownia bez zgody
Wydawcy jest zabronione na
podstawie art. 25 ust.1 pkt 1b
prawa autorskiego.

Copyright

Stowarzyszenie PI-stacja 2013



Od Redaktora

I znów rok zakręcił kołem naszego życia. Przybywa nam lat i doświadczeń. Już grudzień, a wraz z nim Boże Narodzenie, najbardziej rodzinne święta w roku. Gwiazdka, choinka, Mikołaj, wigilia, kolędy, radość i wspomnienia.

Wbrew porzekadłu, że z rodziną wychodzi się najlepiej na zdjęciu, znajdujemy wiele innych całkiem pozytywnych spojrzeń na rodzinę. Przecież każdy z nas rodzi się w rodzinie i każdy wie, że rodzina to mama, tata i dzieci. Jeśli ktoś nie założył jeszcze własnej rodziny i jest singlem, to przecież ma jeszcze rodzeństwo, wujków i innych krewnych. Zdarza się, że ich nie znamy, ale to nie znaczy, że ich nie ma. Wszyscy jednakowoż jesteśmy rodziną, bo wywodzimy się z tego samego gatunku.

W numerze m.in.: o wpływie rodziny na rozwój psychospołeczny jednostki rozmawiają Renata Śmietanka i Kasia Bożyk; o doświadczeniach związanych z drugim małżeństwem i nauce na błędach opowiada Agnieszka Czapczyńska; o tym, że nigdy nie jesteśmy sami i że miłość buduje mosty, a także o pieczeniu pierniczków i potrawach na stół wigilijny.

W tym wydaniu nowy cykl rozpoczyna Jarosław Stankiewicz z zamiarem prostego wyłożenia zasad działalności biznesowej, wszak skądinąd wiadomo, że najlepiej w kraju rozwijają się firmy rodzinne.

Starsi Panowie śpiewali: rodzina nie cieszy gdy jest, a kiedy jej nie ma...

Nie chcemy być samotni, jak Chopin w katedrze, czy Kevin sam w domu... Niech przynajmniej raz do roku każdy z nas spędzi wieczór z bliskimi, w atmosferze dobrej i kochającej się rodziny. Spełniamy nasze marzenia i życzymy wszystkim Wesołych i Rodzinnych Świąt!

Joanna Wroczyńska

Joanna Wroczyńska



Twoją
myśl
przekażemy
innym...

Na Twoje
pytanie
poszukamy
odpowiedzi

Kolejne małżeństwo

– czy umiemy
uczyć się na błędach?

Agnieszka Czapczyńska



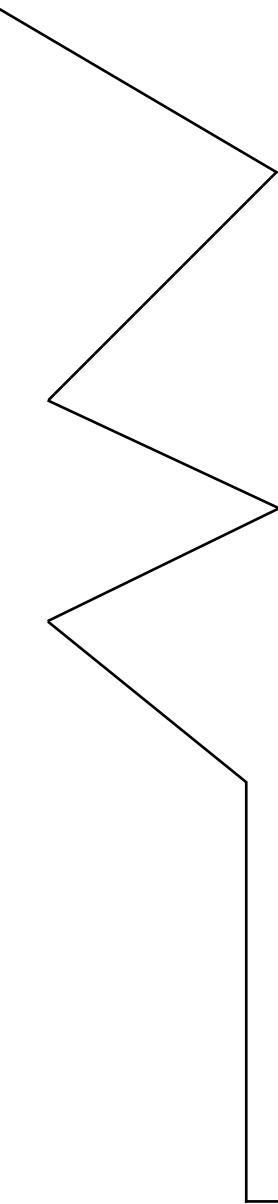


Agnieszka Czapczyńska - psychoterapeutka, pracuje metodami terapii przez sztukę i psychologii zorientowanej na proces, specjalistka w zakresie przeciwdziałania przemocy w rodzinie, trenerka warsztatu Polskiego Towarzystwa Psychologicznego. Od kilkunastu lat zajmuje się terapią oraz warsztatami rozwoju osobistego dla kobiet. Współtwórczyni Fundacji Miejsce Kobiet; Nowy Świat Kobiet.

„Doświadczenie jest najlepszym nauczycielem życia” – tak mówi zbiorowa mądrość. Żeby proces zdobywania wiedzy mógł się odbyć, poza nauczycielem, musi też pojawić się chętny do nauki uczeń... Czy jesteśmy takimi właśnie uczniami? Jeśli sprawdzianem naszej zdolności do nauki przez doświadczenie miałyby być liczba rozwodów do jakiej dochodzi w powtórnych małżeństwach, należałoby uznać, że raczej z nas słabeusze. Czemu tak trudno uczyć się na własnych błędach? Czy można zmienić swój „relacyjny scenariusz”? Jak wchodzić w nowe związki z mądrością wyniesioną z poprzedniego?

Szukając tylko na zewnątrz, szukamy nie tam, gdzie powinniśmy

Nasza kultura oferuje idylliczny obraz małżeństwa, w którym jak w bajce jest ślub, a dalej „żyli długo i szczęśliwie”. To myślenie życzeniowe, przypisujące magiczną moc zaślubinom. Wydaje nam się, że małżeństwo gwarantuje szczęście i spełnienie, jednak realia tego mitu są inne, gdyż co drugie małżeństwo po jakimś czasie rozpada się. Do częstych rozwodów dochodzi także w powtórnych



związkach. Czyżbyśmy nie umieli uczyć się na własnych błędach? I tak i nie... Poranieni po pierwszym rozwodzie wychodzimy często na „prostą”, przerzucając winę za rozpad związku na naszego współmałżonka. To „on” lub „ona” zawinili swoją „kłótnością”, „brakiem troski o rodzinę”, „egocentryzmem”, „despotycznością”, „niewiernością”, „pijackimi ekscesami”... Lista zarzutów jest zwykle długa. Rozwód spostrzegamy jako wynik pomyłki w wyborze współmałżonka/ki. Nasza uwaga skoncentrowana jest na charakterystyce byłego męża i żony, a nie na dynamice tego, jak obydwójce funkcjonowaliśmy w naszym nieudanym związku. Ulegamy mitowi, że istnieją partnerzy idealnie dopasowani do siebie pod względem temperamentu, zainteresowań, przekonań. Poprzednim razem po prostu zwiodły pozory i „jeśli tylko znajdę właściwą osobę [czytaj - inną niż poprzedni mąż/żona], stworzymy dobre małżeństwo”.

Kiedy wybieramy sobie partnera/kę po raz kolejny, zwykle mamy skłonność do szukania osoby, będącej przeciwieństwem naszego czy naszej „ex”. Kobieta, która odeszła od kontrolującego, ograniczającego ją męża, będzie być może szukała kogoś, u czyjego boku poczuje się swobodna i przeżyje wymarzoną wolność. Mężczyzna osamotniony w związku z kobietą preferującą własną autonomię i swobodę, być może zacznie się rozglądać za spokojną, troszczącą się o niego domatorką... Głęboka potrzeba zmiany, jakiej doświadczamy po rozstaniu motywuje do poszukiwań. Niestety, mamy często połowiczną świadomość tego, co powinno ulec transformacji. Zmianę, której szukamy, lokujemy bowiem głównie na zewnątrz – „chcę żyć z inną osobą i to mnie uszczęśliwi”. Tworzymy zatem nową scenografię swojego życia. Nowy dom, nowe dzieci, nowi znajomi, nowe meble, nowe nazwisko... Niezmienne pozostaje natomiast to, co stanowi meritum – my sami/e, nasza umiejętność, a raczej nieumiejętność radzenia sobie

z trudnymi emocjami takimi jak złość, ból, zazdrość, nuda, nasz lęk przed otwartym wchodzeniem w konflikty, który na dłuższą metę owocuje ich eskalacją do rozmiarów absurdu, nasze przywiązanie do własnych stereotypów myślenia i reagowania, niezależnie od tego jak dużo nam przynoszą szkody, nasze przekonania dotyczące tego co męskie i kobiece, co nam wolno, a czego nie... My sami/e jesteśmy trochę w roli starego krzesła, ustawionego w nowym pokoju – na początku wszystko wygląda naprawdę inaczej, ale po jakimś czasie ta sama obluzowana noga zaczyna przeszkadzać i teraz.

Drugie małżeństwo bywa bardziej skomplikowane

Jesteśmy co prawda dojrzalsi, ale wyzwań psychologicznych w drugim związku może być paradoksalnie więcej niż w pierwszym. Do tego, co było trudne za pierwszym razem, dochodzi bowiem przeszłość. Konflikty z „ex” potrafią się ciągnąć latami, pomimo wejścia w nowy związek; pojawiają się skomplikowane relacje z dziećmi, byłymi teściami, przyjaciółmi... Sytuacje, które w pierwszym małżeństwie są źródłem umiarkowanego stresu, typu: organizacja Wigilii, wyjazdy wakacyjne, finanse rodzinne, mogą w drugim związku ulec nasileniu z prostej przyczyny – mamy drugie tyle zobowiązań niż poprzednim razem. Drugi związek jest też bardziej obciążony emocjonalnie niż pierwszy – wchodzimy w niego zranieni po rozstaniu. To bywa trudne dla kolejnej relacji. Żona, która rozwiodła się z niewiernym mężem, może być przesadnie kontrolująca, podejrzliwa i okazywać brak tolerancji wobec każdego spóźnienia czy objawów autonomii nowego partnera. Mąż nadmiernie pijącej żony może mieć trudności w zaakceptowaniu picia towarzyskiego swojej nowej towarzyszki. Zamiast być łatwiej i lepiej, bywa czasem trudniej i gorzej... Generalnie nie ma w tym nic, czego nie dałoby się przekroczyć

w pozytywny sposób. Bariერą bywa zaskoczenie i frustracja wynikająca z mitu, że „tym razem na pewno będzie dużo lepiej...”

Od zakochania do miłości

W każdym kolejnym związku mamy skłonność do powtarzania tego samego błędu, jakim są nierealistyczne oczekiwania wobec drugiej osoby. Zakochanie przysłania ostrość widzenia... Kiedy mija euforia pierwszego zauroczenia, zaczynamy przecierać oczy. Rozczarowanie pewnymi aspektami partnera/ki, które zaczynamy dostrzegać wyraźnie jest pewnikiem, choć paradoksalnie moment, w którym to następuje jest szansą na stworzenie naprawdę głębokiego autentycznego związku dwojga ludzi. Jest to czas, kiedy opuszczają nas złudzenia i godzimy się z myślą, że nie mamy żadnych szans na to, aby zmienić naszą nową żonę czy męża w ten wyśniony, okupiony łzami czy atakami złości ideał. Jest to czas świadomego wyboru – wiem z kim jestem, jaką osobą jest mój partner/ka i akceptuję ten stan rzeczy, lub jest mi z tym na tyle źle, że decyduję się kolejny raz przeżyć zranienie rozstania. Nie oznacza to rezygnacji z siebie i swoich potrzeb, raczej realistyczną ocenę sytuacji i świadomy wybór.

Rozwód to doświadczenie żałoby

Wiele osób wchodzi w kolejny związek bardzo szybko, bez przeżycia żałoby po stracie poprzedniego. Niezależnie od tego kim był nasz poprzedni partner/ka, rozwód oznacza dla nas utratę osoby, która kiedyś była dla nas ważna. To także pożegnanie z marzeniami o rodzinie, którą wtedy tworzyliśmy. Pożegnanie z jasną stroną osoby, z którą dzieliliśmy życie. Pożegnanie z jakimś aspektem samej/ego siebie. Czasem szybkie wejście w nową relację udaje się, mimo obciążenia emocjami z poprzedniego małżeństwa, ale generalnie warto dać sobie czas na przeżycie do końca bólu po stracie.

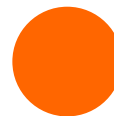
W nowym związku boimy się wracać do przeszłości, ponieważ wydaje się nam, że stanowi ona zagrożenie dla nowego małżeństwa. Pozbawia nas to jednak możliwości wglądu w to, co tak naprawdę spowodowało rozpad poprzedniego związku. Konfrontacja z przeszłością, zrozumienie własnej roli w dramacie, który przeżyliśmy, realne zobaczenie swoich oczekiwań i okoliczności, które sprawiły, że nam się nie udało, pomaga bardziej świadomie budować nowy związek.

Kolejne małżeństwo uczy tolerancji

Warto zachować wzajemną tolerancję dla swojej przeszłości, którą nasz partner/ka zbudowali z kim innym. Oznacza to trudną sztukę kompromisu wobec zobowiązań związanych z rodziną z poprzedniego związku czy przyjaciółmi. Wyzwaniem jest też układanie sobie relacji z dziećmi, które przeżywają trudności z powodu straty i rozpadu rodziny. I nie ma tu znaczenia, jak wspaniały będzie nowy rodzic, trzeba wiedzieć, że proces budowania nowego układu trwa latami i nie jest łatwy...

Kolejne małżeństwo jest zawsze naszą kolejną szansą na odkrycie tego kim jesteśmy i jaki związek chcemy tak naprawdę tworzyć. Żeby z niej skorzystać, potrzebujemy umieć przetrwać czekające nas kryzysy. Im uczciwiej przyjrzymy się sami sobie, tym bardziej rośnie szansa na to, że nie będziemy się uczyć na kolejnym dramacie.

AC



Dobrze zacząć biznes

Jarosław Stankiewicz



Dzisiaj dla wielu z nas biznes to jedyna alternatywa. Spotykam osoby, które niemal urodziły się biznesmenami, natomiast znaczna większość z nas musi się po prostu nauczyć myślenia biznesowego. W takim razie powstaje szereg pytań: jak planować i kierować biznesem, jak być profesjonalnym w tym co się robi, jak się motywować i jak radzić sobie w trudnych sytuacjach, aby uniknąć błędów w biznesie. Tym tematom będzie poświęcony cykl artykułów.

Bycie przedsiębiorcą jest jedną z najwspanialszych przygód jaka może się człowiekowi przydarzyć. To ciągły rozwój – bo trzeba rozwikłać nowe problemy, poszukać innowacyjnych rozwiązań,

trzeba być ciągle nastawionym na rozwojowe zmiany. To również uwolnienie wewnętrznego potencjału, który drzemie w nas, a o którym nie mieliśmy do tej pory pojęcia. I w końcu biznes może być tym, czego wielu z nas pragnie i do czego dąży – sukcesem. Ale biznes to taka przygoda, która nie znosi kompromisu wewnętrznego, stagnacji, niechlujstwa, nieuczciwości, kłamstwa i obłudy, naiwności, niefrasobliwości, chciwości. Jest również spora grupa osób, która kończy biznes porażką – mocno nadszarpanym poczuciem winy i własnej wartości, sporymi długami i rozbitym związkiem. Niezależnie od tego na jakim jesteś etapie swojego przedsięwzięcia, muszę Ci powiedzieć, że nie zostanie on obojętny dla Twojego rozwoju, jest o co walczyć, albo będziesz wielki albo upadniesz.

Od czego zaczyna się biznes? Czy od pozyskania kapitału? Może od zdobycia pierwszego klienta? A może w końcu od wykonania konkretnego produktu czy usługi?

Nie, nic z tych rzeczy, biznes zaczyna się od Twojej głowy! Napisz sobie w skali od 1 do 10 jak jesteś dzisiaj zmotywowany do prowadzenia biznesu, również co Cię motywuje? Niestety, muszę Cię zmartwić, większość biznesmenów trochę się w tym myśleniu okłamuje. A przecież zrozumienie istoty motywacji jest pierwszym krokiem do planowania i ustalania celów. Motywacja jest paliwem w biznesie, a nie pieniądze. Jeśli tylko zrozumiesz swój mechanizm motywacyjny, będziesz mógł w trudnych sytuacjach sięgać do niego, a tych sytuacji z pewnością nie zabraknie. Dbanie o motywację w biznesie jest procesem ciągłym, np. bardzo często główną motywacją rozpoczęcia własnej działalności jest chęć bycia niezależnym finansowo. Ale wyobraź sobie, że zarabiasz tyle, iż możesz o sobie powiedzieć: „jestem niezależny finansowo, stać mnie na wiele rzeczy”. W tym momencie aspekt finansowy w motywacji gaśnie, a trzeba przecież firmę rozwijać. I co zrobisz?

Ostatnio jeden z moich słuchaczy zapytał mnie czy mogę mu podpowiedzieć, gdzie zrobić biznes, bo przecież tyle o nim wiem...

Sprawa nie jest taka banalna i nie chodzi tylko o znalezienie niszy rynkowej. Na pewno znasz, tak jak ja, wiele przedsięwzięć, które miały wszelkie przesłanki do odniesienia sukcesu rynkowego, a zakończyły się fiaskiem. Podobnie zdarzają się pomysły, które w swoich założeniach są karkołomne i wydają się niewiarygodne, a jednak odnoszą sukces rynkowy. Dlatego, jeżeli szukasz pomysłu na biznes, to nie zaczynaj od szukania niszy rynkowej, raczej zacznij od popatrzenia na siebie.

Przyglądając się sobie postaraj się odpowiedzieć na trzy podstawowe pytania : co potrafię, czego mogę się nauczyć i w czym chcę się doskonalić. Biznes to praca, więc odpowiedz sobie na pytanie: na czym mógłbyś skupić swoją uwagę, by poświęcić się pracy 14 godzin dziennie. Co mogłoby Cię pociągnąć tak dalece, że zatracisz się w tym na sporą część dnia. Co Cię interesuje, albo co mogłoby Cię potencjalnie tak zainteresować?

Odpowiedzi na powyższe pytania zmierzają do wyboru i podjęcia decyzji. Nie myśl też, że znalezienie odpowiedzi na te pytania jest łatwe i jednoznaczne. Z doświadczenia wiem, że zajmuje to zazwyczaj ok. 3 miesiące i dlatego daj sobie przynajmniej tyle czasu. Nie podejmuj decyzji pochopnie, pierwsze pomysły są dobre, ale trzeba nad nimi sporo pomyśleć. Jeżeli będziesz się czuć podekscytowany, to świetnie, ale nie podejmuj w takim stanie decyzji. Chcę Ci dać też dobrą podpowiedź, ustal sobie konkretnie czas w ciągu dnia, kiedy przez 30 minut myślisz tylko o swoim biznesie. Na tym etapie możesz też zacząć swoje pomysły porównywać z tym, co jest w realnym biznesie. Czytaj o tym w internecie. Ale uważaj: nie popadaj w stan przygnębienia, gdy zobaczysz, że już ktoś to robi, że jest duża konkurencja itp. Pamiętaj, konkurencja zawsze jest, ktoś też robi rzeczy podobne do twoich – bo to nie zmienia faktu, że Tobie się uda.

Pomocą w tym etapie szukania miejsca dla siebie na rynku niech będzie analiza Twoich możliwości i potrzeb. Napisz swoje mocne strony (analiza swot), np. co potrafisz, jakie masz zasoby finansowe, rzeczowe, kto Ci pomoże i w jakim zakresie pomocy potrzebujesz, popatrz też na swoją lokalizację. Napisz swoje słabe strony: czego nie jesteś w stanie zaakceptować, jakie masz ograniczenia (lokalowe, fizyczne, finansowe), a jakie ograniczenia jesteś w stanie pokonać (np. znajomość branży).

Zakończeniem całego powyższego procesu ma być odpowiedź na pytania:

Jaki cel biznesowy chcę osiągnąć w swoim życiu (jak on brzmi)?

Jakie działania trzeba podjąć, aby ten cel zrealizować (na razie bardzo ogólnie)?

Jaki będzie rezultat realizacji mojego celu (kiedy uznam, że cel został osiągnięty)?

Powyższe pytania stawiamy sobie na różnych etapach rozwoju naszego przedsięwzięcia, ponieważ są one obszarem ciągłego definiowania. Są podstawowym elementem wyznaczania kierunku Twojego biznesu, kierunku rozwoju, (jak on brzmi) zdobywania pieniędzy, klientów, definiowania produktów. Pamiętaj, że sam Biznes to już jest działalność operacyjna (taka trochę techniczna), ale zanim zrobisz ten krok musisz wyznaczyć Misję i Strategię, a do tego musisz znać odpowiedzi na powyższe pytania.

Jakie kryteria ma spełnić cel, jak go poprawnie wyznaczyć, jak się rozliczać z efektów i jak zbudować plan działania w biznesie – o tym dowiesz się z następnego odcinka cyklu. Zapraszam.

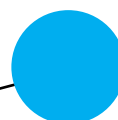


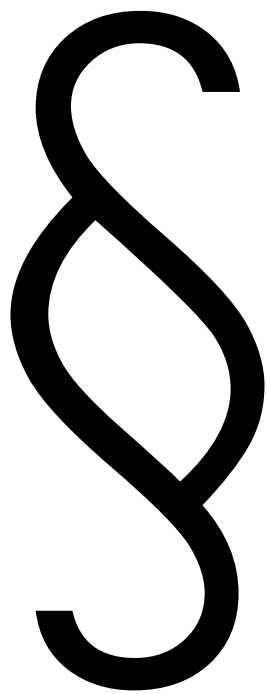
Jarosław Stankiewicz

trener@stankiewicz-szkolenia.pl

Autor jest przedsiębiorcą, właścicielem firmy szkoleniowo-doradczej, trenerem finansów, rachunkowości, biznes planów, podatków, związany z wyższymi uczelniami: WSB Toruń, WSB Bydgoszcz, WSB Chorzów, Uniwersytet Ekonomiczny we Wrocławiu.

JS





Katarzyna Galicka

*odpowiada na pytania
czytelników*



Kilka dni temu Młoda Kobieta została w dość nietypowy sposób potraktowana podczas kursu z taksówkarzem jednej z najbardziej znanych korporacji przewoźników.

Nocny kurs jest z założenia bezstresowy, jednak jak się okazało, oprócz zapłaty w gotówce, pewien siebie kierowca postanowił odebrać dodatkową zapłatę ponad wymagane taryfą wynagrodzenie. Po zatrzymaniu samochodu, nie zwracając uwagi na reakcję swojej pasażerki, złapał on ową Młodą Kobietę za udo i z lekkim uśmiechem wsunął jej rękę pod spódnicę, podgrzewając, w swoim mniemaniu, atmosferę poprzez niewybredny monolog, zakończony próbą wymuszenia na niej zaproszenia do mieszkania.

Młoda kobieta nie dała się zastraszyć mężczyźnie i z taksówki uciekła. Dnia następnego, gdy tylko nerwy i emocje opadły, Młoda Kobieta zgłosiła się po poradę, co w takiej sytuacji powinna zrobić. Choć nie doszło do stosunku, zachowanie kierowcy jest bezprawne.

Porada:

Niezależnie od tego jakiej płci jesteśmy naruszenie integralności cielesnej, w szczególności poprzez dotykanie intymnych części ciała jest karalne i nie jest w takim przypadku istotne czy był to dotyk jednorazowy, czy działanie ofensywne i długotrwałe.

Niniejszy czyn jest w prawie określony „zwałceniem drugiego stopnia”. Jest on uregulowany w Kodeksie karnym, art. 197 § 2, gdzie wszelkie zachowania o seksualnym charakterze i intencji, nie będące obcowaniem płciowym są nazywane „innymi czynnościami seksualnymi” i podlega karze od 6 miesięcy do 8 lat pozbawienia wolności.

Do zakwalifikowania czynności jako „innej czynności seksualnej” konieczny jest cielesny kontakt pomiędzy sprawcą a ofiarą przestępstwa, mający charakter zaangażowania seksualnego pokrzywdzonego. Oprócz przykładów oczywistych, w podanej definicji mieści się również dotykanie ofiary, niezgodne z jej wolą i z seksualnym podtekstem, choćby z ust sprawcy nie padły żadne konkretne propozycje obcowania płciowego.

W takiej sytuacji należy zawiadomić o zdarzeniu Policję i złożyć wniosek o ściganie, jako że opisywane przestępstwo należy do tzw. przestępstw wnioskowych, w przypadku których organom ścigania oprócz informacji potrzebna jest zgoda osoby pokrzywdzonej na podjęcie czynności.

Rady praktyczne:

Wniosek o ściganie powinien być zawarty w protokole przesłuchania w sposób wyraźny. Można go ująć w zdanie „żądam ścigania osoby X”.

Po złożeniu zeznań w protokole, należy wziąć od funkcjonariusza numer policyjny zgłoszenia zawiadomienia, w przypadku gdybyśmy chcieli uzyskać informację od organów ścigania, znacznie ułatwi to procedurę, natomiast ofiara będzie mogła na bieżąco zasięgać informacji o postępach sprawy, skutecznie uniemożliwiając

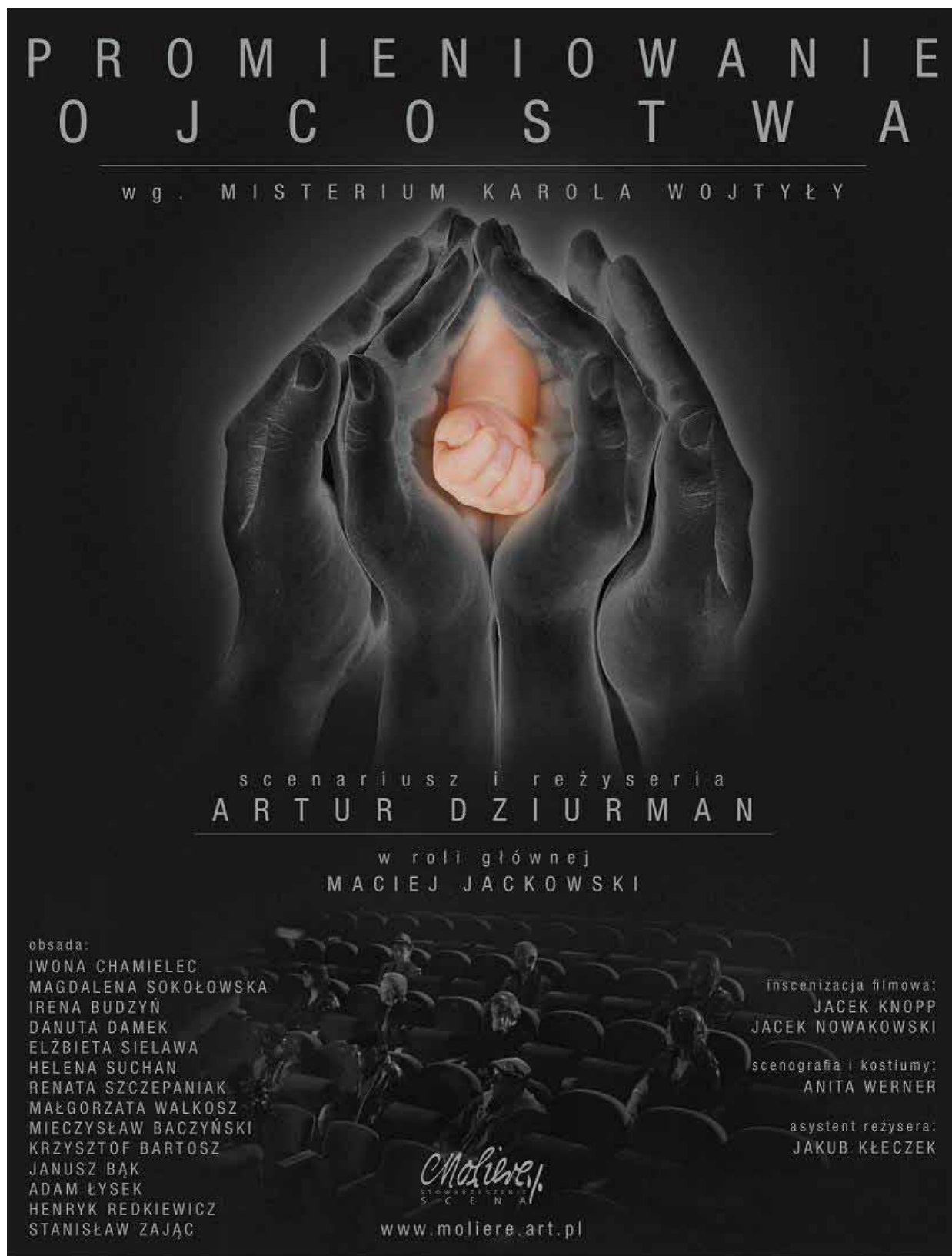
powoływanie się organom na „trudności organizacyjne”. Ponadto warto również zapisać nazwisko funkcjonariusza prowadzącego sprawę, celem późniejszego ustalenia, kto następnie został wyznaczony do prowadzenia Twojej sprawy.

Nie daj się wyprosić z komisariatu! Niestety, nieobca jest praktyka, iż Policja nie chce przyjąć zawiadomienia o przestępstwie, twierdząc że „nie zostało dokonane w ich rejonie” albo powołując się na inne okoliczności. Jednak organy ścigania mają obowiązek przyjąć każde zawiadomienie, niezależnie od tego, gdzie czynu dokonano. Można iść na którykolwiek komisariat i domagać się wszczęcia postępowania. Nie krępuj się mówić na przesłuchaniu. Opisz szczegóły zajścia. Policja niejedno już słyszała i zapewniam Cię, że nie wzbudzisz poczucia demoralizacji, zniesmaczenia czy zażenowania. Na pytania dotyczące wszelkich szczegółów sprawy należy być przygotowanym. Twoje zeznania będą stanowiły podstawową część materiału dowodowego w sprawie.

Pilnuj terminu! Organy ścigania mają 30 dni od daty zawiadomienia na postanowienie o wszczęciu albo odmowie wszczęcia postępowania. W przypadku odmowy przysługuje Ci zażalenie do Sądu Rejonowego za pośrednictwem Prokuratora zatwierdzającego postanowienie.

Najważniejsze na koniec. Przede wszystkim nie bój się. Niech poczucie wstydu nie przeważa nad tym, że druga osoba wyrządziła Ci krzywdę. Jeśli znalazłaś się w podobnej sytuacji co Młoda Kobieta, żadne okoliczności (także jeśli podobne zajście miało miejsce np. gdy ofiara była pod wpływem alkoholu) nie usprawiedliwiają zachowania sprawcy, który nie ma prawa Cię dotykać bez Twojej zgody...

KG



Kaukaz – Europa to czy Azja?

Waldemar Ławecki

Obszar pomiędzy Morzem Czarnym a Morzem, zwanym też Jeziorem, Kaspijskim w rejonie wysokiego Kaukazu zajmują w zasadzie jedynie trzy państwa, są to: Gruzja, Armenia i Azerbejdżan. Północne stoki Kaukazu zamieszkują od wieków górale: Dagestańczycy, Ingusze, Czeceńcy, Osetyńczycy, Abchazi i inni, ale to już fragmenty wielkiej Rosji. Z kolei od południa Armenia i Azerbejdżan graniczą z Turcją i Iranem, które są krajami z Kaukazem już niezwiązanymi.

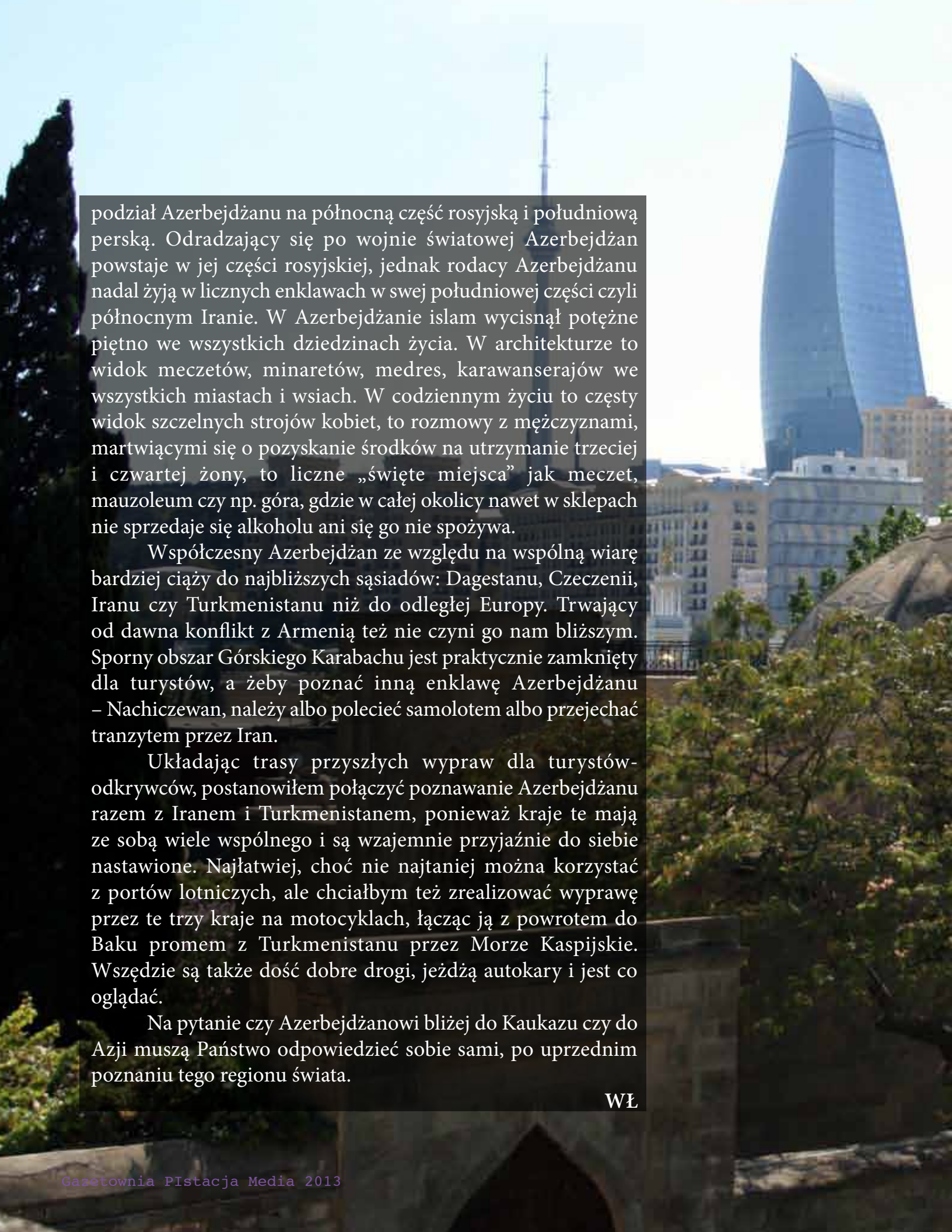
Cały Kaukaz to w zasadzie trzy kraje, które z powodu łączących je gór wymieniane są jednym tchem jako nierozzerwalna całość. Nerwem Kaukazu są dwie rzeki płynące w przeciwne strony. Do Morza Czarnego wpływa Rioni, po której od obecnego Poti płynęli Argonauci po swe Złote Runo, a do Morza Kaspijskiego wpada pod Baku – Mckwari, zwana też Kurą. To właśnie obszar na północ i południe od tych rzek zajmuje Armenia, Gruzja i Azerbejdżan. Z powodu geograficznej bliskości wymieniamy jednym tchem te trzy kraje łącznie, traktując je jako Kaukaz. Jednakże bliższe poznanie poszczególnych fragmentów „międzymorza”, ich historii, kultury, zwyczajów mieszkańców, zabytków architektonicznych, obiektów sakralnych i praktyk religijnych, coraz bardziej utwierdza mnie w przekonaniu, że Azerbejdżanowi znacznie bliżej do sąsiadów z Azji niż do aspirujących do Europy Gruzji i Armenii.

Armenia i Gruzja były pierwszymi chrześcijańskimi krajami świata. Albania Kaukaska zajmująca centralny obszar współczesnego Azerbejdżanu, rozciągająca się na północ od Kury, również budowała kościoły podobne do tych z sąsiednich krajów, a nawet wyprzedzała je budując przed nimi. Wspólna wiara łączyła więc cały ówczesny Kaukaz. Po tym okresie pozostały nie tylko w Armenii i Gruzji liczne kościoły i klasztory, ale także są dowody istnienia tej wiary we współczesnym Azerbejdżanie. W małej wiosce Kisz koło



wówczas stołecznego Szeki możemy podziwiać chrześcijański kościół pod wezwaniem św. Elizeusza. Początki jego budowy sięgają przełomu I i II wieku. Ale są i inne zabytki chrześcijańskie Albanii Kaukaskiej: świątynia z VI wieku w wiosce Gum, kościół z IV wieku we wsi Giulluk, we wsi Nidź i inne. Ciekawostką jest to, że to właśnie w tej ostatniej wiosce w 2006 roku odrodził się autokefaliczny kościół chrześcijański Kościoła Albańskiego na Kaukazie. Wioskę Nidź zamieszkują Udini, potomkowie starożytnego plemienia kaukaskiego, a funkcjonujący tu kościół ściąga Udinów także z Dagestanu i Gruzji.

Mimo tych śladów chrześcijańskiej przeszłości, współczesny Azerbejdżan to kraj islamu. Albania Kaukaska upadła na początku VIII wieku i od tego czasu panuje tu niepodzielnie nowa wiara. Sąsiedzi przybywający z południa i ze wschodu to wyznawcy Allaha. Arabowie, Turcy Seldżuccy, Sułtanat Iracki, Mongołowie i potem Złota Orda, Osmanowie, Tatarzy Krymscy, Persowie – utrzymują islam. Początek XIX wieku to



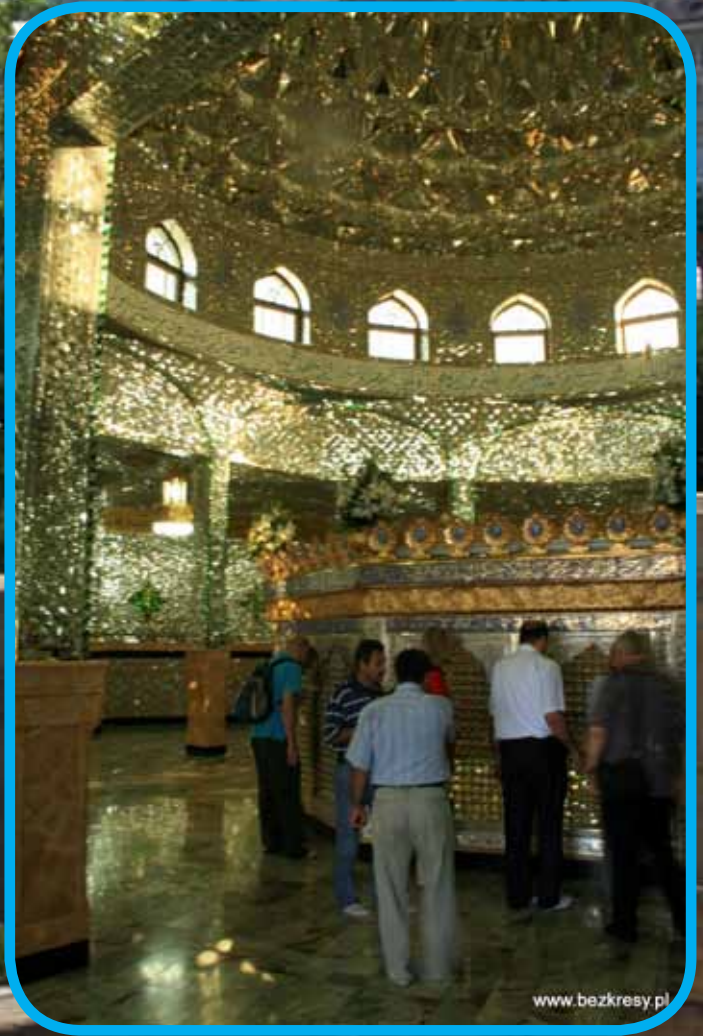
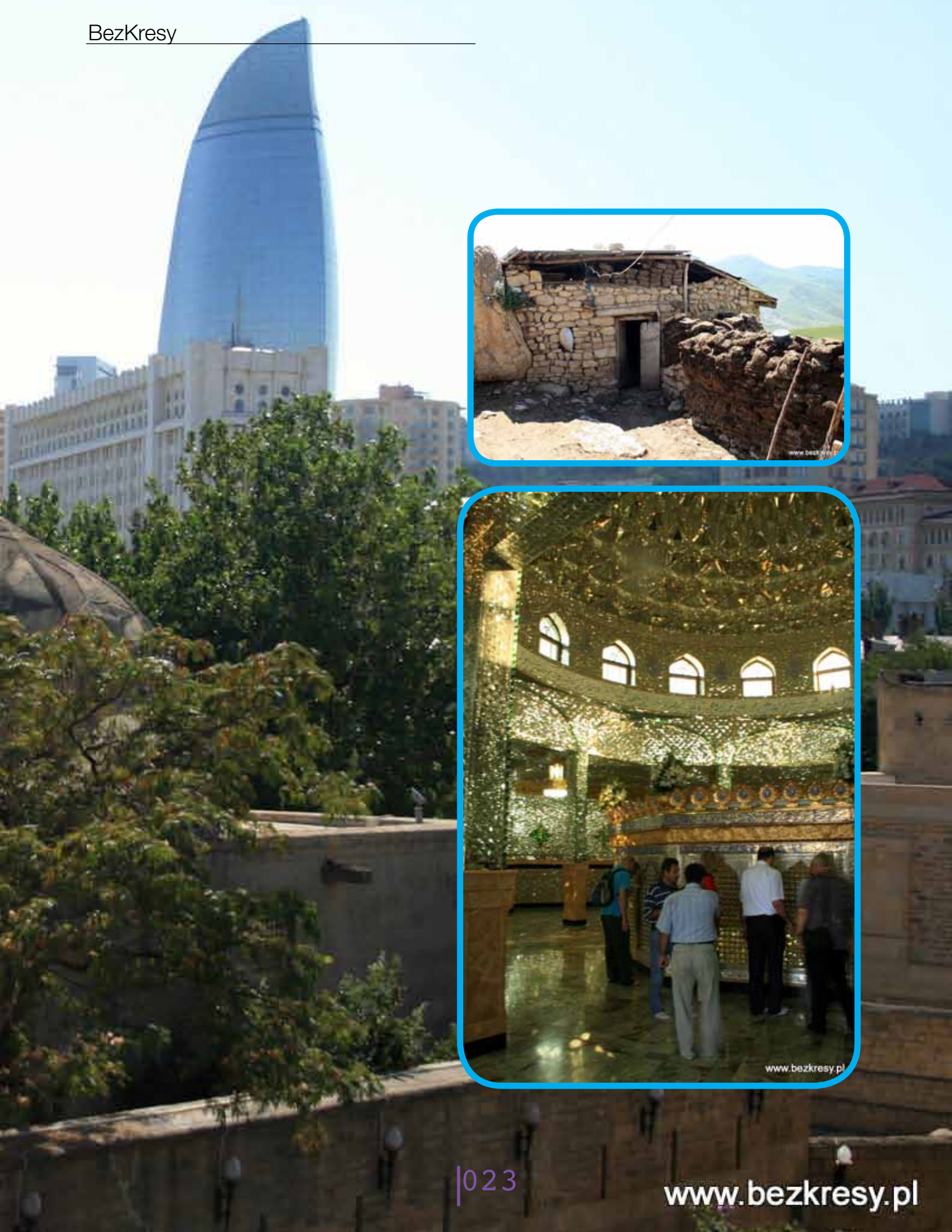
podział Azerbejdżanu na północną część rosyjską i południową perską. Odradzający się po wojnie światowej Azerbejdżan powstaje w jej części rosyjskiej, jednak rodacy Azerbejdżanu nadal żyją w licznych enklawach w swej południowej części czyli północnym Iranie. W Azerbejdżanie islam wycisnął potężne piętno we wszystkich dziedzinach życia. W architekturze to widok meczetów, minaretów, medres, karawanserajów we wszystkich miastach i wsiach. W codziennym życiu to częsty widok szczelnych strojów kobiet, to rozmowy z mężczyznami, martwiącymi się o pozyskanie środków na utrzymanie trzeciej i czwartej żony, to liczne „święte miejsca” jak meczet, mauzoleum czy np. góra, gdzie w całej okolicy nawet w sklepach nie sprzedaje się alkoholu ani się go nie spożywa.

Współczesny Azerbejdżan ze względu na wspólną wiarę bardziej ciąży do najbliższych sąsiadów: Dagestanu, Czeczenii, Iranu czy Turkmenistanu niż do odległej Europy. Trwający od dawna konflikt z Armenią też nie czyni go nam bliższym. Sporny obszar Górskiego Karabachu jest praktycznie zamknięty dla turystów, a żeby poznać inną enklawę Azerbejdżanu – Nachiczewan, należy albo polecieć samolotem albo przejechać tranzytem przez Iran.

Układając trasy przyszłych wypraw dla turystów-odkrywców, postanowiłem połączyć poznawanie Azerbejdżanu razem z Iranem i Turkmenistanem, ponieważ kraje te mają ze sobą wiele wspólnego i są wzajemnie przyjaźnie do siebie nastawione. Najłatwiej, choć nie najtaniej można korzystać z portów lotniczych, ale chciałbym też zrealizować wyprawę przez te trzy kraje na motocyklach, łącząc ją z powrotem do Baku promem z Turkmenistanu przez Morze Kaspijskie. Wszędzie są także dość dobre drogi, jeżdżą autokary i jest co oglądać.

Na pytanie czy Azerbejdżanowi bliżej do Kaukazu czy do Azji muszą Państwo odpowiedzieć sobie sami, po uprzednim poznaniu tego regionu świata.

WŁ





Miłość jest w stanie zbudować most

Kasia Bartsch-Cielebon

Piękny, jesienny dzień. Siedzimy z bratem na ławeczce, przed grobem naszych rodziców i dziadków. Znicze zapalone, kwiaty ustawione, modlitwa była. Chwila dla drugiej osoby. Brat z uwagą wpatruje się w nagrobek, w pewnej chwili mówi:

– Wiesz, ja chciałbym żyć przynajmniej tyle, ile dziadek.

Szybko obliczam w pamięci.

– To jeszcze 12 lat – mówię spokojnie, nie emocjonując się – szmat czasu.

– No – brat kiwa głową.

Długowieczność nigdy nie była naszą mocną stroną – szmat czasu – a ja wiem, że może nie przeżyć tych 12 lat. I co zrobić z tą świadomością?

– Wiesz, nie długość życia się liczy, ale to, co w nim robisz – próbuję z górnego C.

– E, siostra, ty mnie tu nie ucz. Ja wiem. Ale jakiś cel trzeba mieć w życiu, nie?

Kiwam pokornie głową, przyjmując lekcję. Cel. Wreszcie. Jeszcze pięć lat temu nie miał

żadnego celu. Nie widział żadnych możliwości. Żona go wyrzuciła ze swojego życia, córka w swoim własnym nie znalazła miejsca na „starego” ojca. Pijaka. Matka umarła. Drugi brat umarł. O mnie nie pamiętał. Kilka dni po pogrzebie naszego brata zadzwonił do mnie. Cisza po drugiej stronie linii. Tylko wyświetlacz telefonu sygnalizuje, że połączenie trwa.

– Co tam, brat? – zagadnęłam. Cisza.

– Ej, jesteś tam? Czy coś rozłączyło?

Zduszone chrząknięcie.

– Wiesz, bo chciałem cię usłyszeć – wydusił po chwili.

– Aaa... – panika w głowie. Żle się dzieje. Co mogę zrobić? Jak? Zaczęłam nawijać o tym co robię, gdzie akurat jestem, co u mojej rodziny. Z drugiej strony odpowiedzią była cisza.

– Wiesz, zdałem sobie sprawę z tego, że jestem sam.

– Napięcie wreszcie go puściło. Teraz ja przycichłam. Czekam. Brak innych słów. Poczucie pustki. Rozpacz.



– Jeszcze jestem ja... – zaczęłam nieśmiało -

– Ta, ale jesteś bardzo daleko – szept.

– Ale cię kocham, brat. – Nic więcej mi nie przyszło do głowy. Cisza. Telefon nadal sygnalizuje połączenie. Po dłuższej chwili:

– Mogłabyś to powtórzyć?

– Kocham Cię, brat – znowu cisza.

– Dzięki siostra. Ja... – cisza. – Ja ciebie też – koniec połączenia. Popatrzyłam nieprzytomnie na telefon. A potem setki kolejnych telefonicznych rozmów, zaczynanych lub kończonych słowami: kocham Cię. Nauczył się je mówić. Przestały sprawiać trudność. Zaczął budować swoje życie na nowo. Skończył pić. Jest mu trudno, ale się nie poddaje. Magia słów trwa.

Inna sytuacja. Z uporem maniaka próbuję dopasować patyczek do dziecięcego bucika, aby wreszcie pasował, kiedy czuję szarpnięcie za rękaw.

– Niech no pani spojrzysz – słyszę kobiecy chropawy głos. Patrzę

nie bardzo wiedząc o co chodzi. Malutka kobietka w czapce z daszkiem, obok niej podobnego wzrostu mężczyzna. Bez czapki. Mocno trzymają się za ręce.

– Klapki – podpowiada bez uśmiechu.

Zaczynam łąpać o co chodzi – bo nie wiem, czy mi dobrze – aha, załapałam. Patrzę na jej białe nogi w nowych klapkach. Kolorowe, letnie, niewielki obcasik. Nie przewyższa swojego partnera...

– No jak najbardziej – uśmiecham się.

– To dobrze. Bo widzi pani. On – wskazuje na mężczyznę – on jest kochany, ale na takich kobiecych sprawach to nic się nie zna...

Kiwam głową i dalej wypatruję butów dla dziecka. Kobieta jednak nie rezygnuje.

– Wie pani, gdyby nie on... – głos się kobiecie załamał.

Dobra. Zostawiam buciki. Widocznie mamy pogadać. Nastawiam się na odbiór.

– Gdyby nie on, to mnie by pewnie nie było – kręci

głową. Mężczyzna pociera jej ramię.
– Ja to teraz mówię, bo może to komu pomoże. Wie pani. Nie, no, pani to pewnie nie wie. Ja piłam. Bo ja wiem, ile. Wydaje mi się, że jak mała byłam to już piłam. U nas zawsze się piło. U niego też.

Mężczyzna nadal milczy. Ale widać zaufanie do słów kobiety.

– Zabrali mi dzieci. Wieszać się chciałam. Uratował mnie – łzy lecą po policzkach – wie pani... kocha mnie. On mnie kocha. Mnie, takie nic.

– Nie, no – wtrąca się nagle mężczyzna – nie, no.

– On mnie kocha i mogę żyć – kiwa głową kobieta – ja jego też – dodaje jakby na usprawiedliwienie. – Trzy lata już jesteśmy razem. Nie pijemy. Może oddadzą mi dzieci.

I jeszcze ja. Jestem DDA. Nie piję, nie palę, nie ćpam. Ale uzależnienie to tylko czubek góry lodowej zbudowanej przez otoczenie w dzieciństwie. Malutki wierzchołek. Uzależnienie pomaga zapomnieć. Na chwilę. Dlatego jest nic nie warte. Kiedyś inny DDA powiedział mi, że przełamalam schemat. To nieprawda. W sercu kogoś takiego

jak ja jest przepaść. Bezdenna. Przy niej Rów Mariański jest niewielkim uskokiem. Przepaść odrzucenia, sponiewierania, bólu. I żeby zacząć żyć normalnie trzeba przez tę przeszkodę przejść. Jedynie miłość, gotowa poświęcić wszystko, jest w stanie zbudować most łączący brzegi tej przepaści. DDA będzie niszczył ten most. Palił. Rujnował. Ranił. Kolejnymi zachowaniami. Kolejnymi potknięciami. Stronę, po której jest, już zna. Tamten brzeg jest mu obcy i nieznany. Ale jeżeli ktoś wyciągnie rękę po pomoc warto zaryzykować. Zbudować most. Nawet z siebie. Ja gramolę się po tej drugiej stronie przepaści. Żeby ją przebyć, nauczyłam się wybaczać. Najtrudniej było mi podziękować za wszystko co mnie spotkało. Ale teraz już traktuję to jako błogosławieństwo. Bo gdyby nie to, nie mogłabym teraz dla Was pisać i nie mogłabym Wam powiedzieć, że bardzo Was kocham. Tak z prostego serca. I na zakończenie moi kochani DDA, ktoś kiedyś powiedział, że u Boga wszystko jest możliwe. I jest to cholerna prawda.

DDA

Samotność Chopina

Piotr Mysłakowski



*Rodzina nie cieszy, nie cieszy gdy jest
Lecz kiedy jej nie ma, samotnyś jak pies...*

Tak podsumowali tę wiekuistą prawdę nieocenieni Starsi Panowie Dwaj. Czy Chopin, który nie założył tradycyjnie pojmowanej rodziny, był samotny? Dlaczego jej nie założył – czy nie chciał, czy nie znalazł odpowiedniej osoby, czy okoliczności sprzysięgły się, by mu to uniemożliwić?

Samotność jest stanem z wyboru lub z konieczności, jednak raczej jest sprzeczna z istotą natury ludzkiej – jest to więc stan nienormalny, choć bardzo rozpowszechniony (vide coraz większa liczba „singli”). Ludzie, znajdujący się w takim stanie mogą wypełniać życie innymi treściami – twórczością, pracą dla innych, kontemplacją lub konsumpcyjnym „używaniem życia”. Mogą wreszcie prowadzić życie „niesamotne”, mieć stałych partnerów, dzieci, rezerwować sobie wolność wyboru, gdzie owa samotność stanowi wyraz indywidualnej potrzeby nieskrępowania konwenansem czy prawnym zobowiązaniem. Czasem bywa wynikiem naturalnej predyspozycji (np. fizjologicznej, orientacji seksualnej czy fizycznej ułomności).

Instytucja rodziny jest stara jak świat, na niej opiera się historia społeczeństw i wszelkie tendencje w kierunku „samotności” bywają postrzegane jako odchylenia od normy. Najbardziej spektakularnym przykładem jest biblijna historia Jezusa: przecież w społeczeństwie ówczesnej Judei dorosły, zdrowy Żyd, który nie był żonaty i nie miał dzieci – postrzegany musiał być jako jakieś odchylenie od normy! To socjologiczno-kulturowe spostrzeżenie jest dla badaczy koronną przesłanką, by podawać celibat Jezusa w wątpliwość...

A Chopin? Wyrósł w kochającej, przykładowej rodzinie o idealnym wręcz modelu 2+4, kultywującej moralne i religijne zasady życia i wychowania. Najbliżsi Fryderyka i on sam z pewnością widzieli jego przyszłość u boku kochającej kobiety, w otoczeniu gromadki potomków. Nie był pod tym względem żadnym ekscentrykiem z założenia, żadnym charakterologicznym samotnikiem ani dziwakiem. Nie wykazywał też żadnych innych, niż heteroseksualne, preferencji seksualnych (choć

współcześni autorzy doszukują się ich właśnie w jego emocjonalnych – dzisiaj szokujących – sformułowaniach językowych czy w delikatnych i „kobiecych” upodobaniach).

Z okresu jego młodości, spędzonej w Warszawie, dysponujemy wystarczającymi dowodami na to, że jako nastolatek rozwijał się prawidłowo (pomijając wczesne oznaki różnych dolegliwości gastrycznych), był wystarczająco uświadomiony seksualnie, by wiedzieć na czym polegają stosunki męsko-damskie. Był wyczulony na duchowe, ale i cielesne emanacje kobiecych wdzięków. Świadczą o tym młodzieńcze, wzdychające randki na ławeczkach ogrodu licealnego; wzmianki w listach do przyjaciół – np. uwagi o wrażeniach z siedzenia na kanapie z piękną Henriettą Sontag w porze jej porannego dezabilu; znacząca, a raczej dla mnie jednoznaczna, komitywa z nieco starszą hrabianką de Moriollles; i wreszcie dość szczegółowo opisana w listach do przyjaciela towarzysko-obyczajowa afera z Sannik, gdzie 18-letni Frycek został posądzony o spowodowanie ciąży guwernantki państwa Pruszków – choć, jak sam pisze, owszem, spacerował z panienką po sannickim parku, ale „ochoty na nią nie miał”. Podobnie zareagował na niedwuznaczne zaloty pewnej przyjezdnej pianistki, starającej się o koncerty w Warszawie – panny de Belleville. Najwyraźniej jej zbytnia natarczywość wywołała w nim odwrotny efekt, co świadczy o całkowitej normalności jego sfery seksualnej (był to wyraz świadomego wyboru: gdyby chciał, skorzystałby z tych awansów).

Nie wiemy nic o szczegółach jego inicjacji seksualnej, choć wiele wskazuje na rolę hrabianki Aleksandriny de Moriollles w tej materii. Z kolei zafascynowanie młodą adeptką szkoły śpiewu, Konstancją Gładkowską, pozostaje raczej w kategorii romantycznego szukania ideału, obiektu westchnień i wewnętrznych przeżyć.

Pierwszą próbą zawiązania prawdziwej rodziny było odnowienie znajomości z Marią Wodzińską, młodziutką znajomą jeszcze z czasów wspólnego warszawskiego dzieciństwa. Młodzi ponownie spotkali się w 1835 roku w Dreźnie, gdzie matka Wodzińska z rodziną przeczekiwała niespokojne czasy, Chopin zaś wracał do Paryża ze spotkania z rodzicami w Karlsbadzie. Odnowiona znajomość

przerodziła się w sympatię, a następnie w planowanie małżeństwa. Młodzi nawet zaręczyli się, za wiedzą przychylniej temu projektowi matki Marii, jednak zachowano to w tajemnicy. Fryderyk był przecież tylko przejazdem w drodze do Francji, a ponadto jego odzywające się coraz częściej problemy zdrowotne dawały matce Marii poważne podstawy do obaw o przyszłość jej córki. Wymogła więc na młodych roczny okres próbny, po którym miały zapaść ostateczne decyzje. Jak wiadomo, skończyło się to totalnym fiaskiem. Początkowo serdeczna wymiana listów zamarła, stopniowo przeistaczając się w zdawkową wymianę informacji i wreszcie Fryderyk, gdy zdał sobie sprawę z beznadziejności dalszych oczekiwań, zawiązał listy od Marii w pakiecik, który opatrzył napisem „Moja bieda”; i schował w głąb szuflady i swej pamięci.

Literatura chopinowska oczywiście podchwyciła ten jakże barwny wątek i twórczo go rozwinęła, próbując wyjaśnić głębsze przyczyny owego rozstania: w świetle dalszej biografii artysty wiemy przecież, że ludzkość utraciła tutaj jedyną szansę na zaistnienie RODZINY największego „poety fortepianu”. Jakże smakowitym kąskiem dla genealogów byłoby poszukiwanie dzisiejszych jego potomków!

Powodów stopniowego wychłodzenia uczuć młodziutkiej Marii (sterowanej zresztą skutecznie przez matkę) doszukiwano się m.in. w obiekcjach ze strony reszty rodziny Wodzińskich. Była to rodzina prawie arystokratyczna, majątna, wysoko ustosunkowana i pomimo że bracia Marii byli wychowankami na pensji Mikołaja Chopina, nie zapominano o różnicach stanowych: małżeństwo z mieszczaninem, a w każdym razie nieszlachcicem (bo takim był Fryderyk) stanowiło mezalians. Nie równoważyła go wysoka ocena talentu Chopina i jego perspektywy na ogromną, międzynarodową karierę artystyczną – w tamtej epoce pokutowało jeszcze zadawnione lokowanie wszelkiej maści „artystów”, w tym muzyków, aktorów czy malarzy wśród linoskoczków, kuglarzy, cyrkowców i tym podobnych połykaczy ognia. Wysokie uznanie społeczne dla talentów artystycznych dopiero się wykuwało.

Sądzę jednak, że rodzice Marii przymknęliby oko na tę socjalną

niedogodność, gdyż doceniali talent Fryderyka i w dodatku osobiście bardzo go lubili. Większym zmartwieniem było słabe zdrowie narzeczonego. Oddanie mu córki, połączone z osiedleniem w odległym od rodzinnej opieki Paryżu, w ewentualnością, że pozostanie ona w nieodległym czasie wdową, stanowiło poważny argument przeciwko małżeństwu. W dodatku pozycja artysty, zarabiającego na utrzymanie rodziny czy to występami, czy sprzedanymi kompozycjami, była uzależniona od kaprysów rynku, a więc bardzo niepewna.

Wydaje się jednak, że szalę przeważała dochodząca plotkarskimi kanałami z Paryża wieść o podejrzanym zaprzyjaźnieniu się Chopina z George Sand, kobietą mającą ugruntowaną już nienajlepszą reputację osoby manifestującej niechęć do konwenansów, demonstracyjnie obnoszącej się z lewicującymi, wręcz libertyńskimi poglądami na pozycję społeczną kobiety. Znajomość ta przerodziła się w 9-letni związek przypominający rodzinę. Początkowo Chopinowi nie podobała się ta zaborcza kobieta: drobna, czarnowłosa, o nieco wylupiastych oczach, ubierająca się po męsku, paliła papierosy i pisała jedną powieść za drugą. Co więcej – utrzymywała się z tego pisanie, gdyż powieści jej szybko stały się bestsellerami! Pisarka przybrała męski pseudonim „George Sand” po pierwszych próbach pisarskich wspólnie z niejakim Jules’em Sandeau. Wcześniej Aurora Dupin (takie było jej panieńskie imię i nazwisko) była krótko żoną Casimira Dudevant’a, noszącego tytuł barona, byłego wojskowego i postaci mało sympatycznej. Ze związku tego urodził się syn Maurice, a być może – także córka Solange. Po rozstaniu z baronem Aurora postanowiła być kobietą samodzielną i utrzymywać siebie i dzieci z własnej pracy. Co dodaje pikanterii i koloru tej niepospolitej postaci, to jej bezpośrednie pochodzenie od króla polskiego i saskiego, Augusta II Mocnego – oraz





że w kolejnych pokoleniach większość jej przodków pochodziło z tzw. nieprawego łoża.

To George Sand „zdobyła” Chopina, mimo jego początkowej wyraźnej niechęci. Wkrótce Chopin został zaproszony do Nohant, uroczej posiadłości z „château” w środkowej Francji, którą George odziedziczyła po swej babce, zastępującej jej matkę. Nohant było miejscem wizyt i dłuższych pobyków licznych przyjaciół pani domu: poetów, malarzy, pisarzy i polityków; niektórzy byli jej oficjalnymi kochankami. W Paryżu George i Chopin wynajęli dwa sąsiadujące mieszkania, oddzielone jedynie wewnętrznym dziedzińcem kamienicy. Chopin nie chciał rezygnować z poczucia wolności i samodzielności, chciał mieć także spokój przy dawaniu lekcji oraz zachować pozory wobec paryskiej socjety. Zapewne George kierowała się podobnymi przesłankami.

Pobyty w Nohant były dla pogarszającego się zdrowia Chopina zbawienne; rzeczywiście i sama posiadłość, i jej okolice są do dziś oazą spokoju, pięknej przyrody, uspokajającego pejzażu. Miał także warunki do komponowania. Jednak życie, które tam pędził, było do złudzenia podobne do typowego życia rodzinnego. Chopin przyjął wobec dzieci George postawę prawdziwie ojcowską, troszczył się o nie i przejmował do tego stopnia, że wywołał niezamierzoną niechęć Maurycego. Z kolei Solange, gdy podrosła, najwyraźniej zakochała się w swym przybranym ojczymie.

A pożycie małżeńskie? Pod koniec ich 9-letniego związku George zwierzyła się listownie jednemu z przyjaciół, że „od siedmiu lat żyje z Chopinem jak dziewczica”. Miało to związek z pogarszającym się zdrowiem Fryderyka; ostre i długotrwałe problemy z oddychaniem, kaszel, krwotoki i ogólne osłabienie zrobiły z niego wymagającego opieki, cierpliwości i wysiłku pacjenta. Nic dziwnego, że ubywające siły fizyczne nie szły w parze z możliwościami w sferze seksualnej.

Na wielki plus zaliczyć trzeba poświęcenie George, która praktycznie przyjęła rolę jedynej (poza lekarzami) opiekunki i pielęgniarki Chopina, tworząc mu przez długie lata poczucie prawdziwego domu rodzinnego. Ten stan rzeczy jednak uległ zmianie na dwa lata przed śmiercią Fryderyka. Ciężar opieki, narastające rozdrażnienie chorego, poczucie niewdzięczności przy braku jakiegokolwiek rekompensaty w łóżku, spowodowały, że kolejne spięcie na tle dzieci George (ślub Solange) doprowadziło do rozstania. W ten sposób zakończył się dla Chopina jedyny w jego życiu okres „rodzinny”.

Romans ten – ze względu na osoby dramatu – był w tej epoce bujnego rozkwitu romantyzmu międzynarodowym romansem stulecia i doczekał się ogromnej literatury, zarówno biografistycznej, jak i czysto literackiej.

Rozważania „rodzinne” byłyby niepełne, gdyby nie wspomnieć o innych okolicznościach, które w tle miały jakieś plany matrymonialne. Jak wiadomo, Chopin był bardzo czuły na wdzięki niewieście, w ich towarzystwie czuł się świetnie, otoczony wyrazami uwielbienia ze strony licznych swych uczennic, ich matek i żon przyjaciół. Panie nie ukrywały, że osobowość kompozytora, jego dowcip, bystrość umysłu, elegancja zachowania, a przede wszystkim styl gry wywoływały w nich uczucia ekstazy, by nie powiedzieć więcej...

Była wśród nich uczennica nietypowa, Zofia Rosengardt – niezamożna dziewczyna z Warszawy, która kosztem ogromnych wyrzeczeń zrealizowała marzenie zostania uczennicą Chopina. Jej fascynacja Mistrzem doszła do tego stopnia, że – jak wynika z jej pamiętnika – marzyła o zostaniu jego żoną. Marzenie się jednak nie spełniło i Zofia wyszła za mąż za poetę Bohdana Zaleskiego, zaś Chopin wystąpił w roli ich świadka.





Ostatnie dwa lata życia Chopina to z kolei okres znajomości z Jane Stirling, zamożną Szkotką, która będąc jego uczennicą, najwyraźniej była w Mistrzu zakochana. Uczucie to nie miało szansy przerodzić się w związek – zdrowie i siły Chopina były już na wyczerpaniu. Zakochana Szkotka skierowała swoją energię na opiekę i pomoc dla swego nauczyciela, w tym także ukrytą pomoc finansową. W obliczu rewolucji i epidemii tyfusu w 1847 roku, a tym samym utraty dochodów z lekcji, panna Stirling zorganizowała mu koncertową podróż do Anglii i Szkocji. Po śmierci Chopina była pierwszą i główną opiekunką spuścizny i pamiątek po Chopinie, której zawdzięczamy istnienie do dzisiaj przedmiotów, za życia należących do Mistrza.

Do oddzielnych studiów odłożyć trzeba analizę innych, licznych znajomości Chopina z kobietami, z których niewątpliwie niektóre miały charakter intymny; jednak z braku dowodów, rozważania takie muszą pozostać w sferze hipotez. Najwięcej polemik wywołuje do dzisiaj charakter przyjaźni z Delfiną Potocką. Pomijając spór o autentyczność tzw. „listów do Delfiny” o charakterze otwarcie erotycznym, pozostałe okoliczności ich znajomości bynajmniej nie wykluczają intymnego związku.

Jak potoczyłoby się życie Chopina, gdyby założył rodzinę? Czy podolałby codziennym obowiązkom męża i ojca? Jak życie rodzinne wpłynęłoby na jego twórczość – jej charakter i wydajność? Oto pytania dla „gdybologów” (co by było, gdyby)... Jednak pozostaje zagadnienie natury psychologicznej, godne poważnej dysertacji: czy Chopin czuł się samotny i jak to poczucie odbiło się w jego twórczości? Jak dotąd, literatura chopinologiczna nie daje pełnej odpowiedzi na to pytanie.

PM

Życie to nie teatr

opowiadanie konkursowe

reno|4



Dzieciństwo

Urodzona jako jedno z ośmiorga rodzeństwa w wiejskiej osadzie, byłam cudownym dzieckiem, które zapamiętywało wszystko co najlepsze. Poszłam do sklepu spożywczego, a tam niespodzianka... Pan kapitan wziął mnie na ręce i mówi: „Ja w domu też mam taką piękną córeczkę”. I kupił mi torebkę cukierków owocowych – bo wówczas tylko takie były w sprzedaży. Radość moja przy słodkim „co nieco” trwała do drogi docelowej, do domu. Nie podzieliłam się z nikim, dla mnie był to rarytas, za którym do dziś przepadam.

Smakował mi domowy chleb, który mama piekła raz w tygodniu – wierzch chleba był słodki. Mój brat Leszek podczas przedświątecznych wypieków potrafił zjeść całą babę. Jedzenia w naszej dziesięcioosobowej rodzinie nie brakowało. Mama troszczyła się o swoje potomstwo.

Prace polowe? Na wiejskiej roli rodzice uprawiali: len, żyto, buraki, ziemniaki. Pamiętam ogniska, z których wygrzebywaliśmy kartofle upieczone z chrupiącą skórką. Jednak ja przy pracach polowych niewiele pomagałam. Była to ciężka, żmudna, brudna robota. Chętniej zostawałam w domu, by posprzątać pomieszczenia czy też ugotować obiad. Ciągnęło mnie do lasu, aby zbierać jagody i mieć pieniążki. Chętnie też zarabiałam u sąsiadów.

Lubię jedzenie

Nasza sąsiadka z podwórka zawsze wołała swoje dzieci na posiłki. Najpierw odmawiany był różaniec – dla spokoju duszy, a potem delicum – dla ciała. Różaniec był długi, trwał, zdrowaśki... dziesięć... jak tak można. A jednak wytrzymałyśmy, by godziwie zjeść.

Mama często wysyłała mnie też na zakupy do jedyne go sklepu. Mówiłam: „pół kilo ryżu i dropsa

mlecznego poproszę”. Zanim doszłam do domu był już zjedzony. Nikt mi nie powiedział, że stracę zęby.

Moje „najedzenie” było ważniejsze, niż otoczenie. Idąc przez rzeczkę Strugę, wpadłam z mąką do wody. Było po zakupach! Nikt mi nie powiedział, że mam lęk wysokości, często byłam też przestraszona i miałam obawy, że coś się wydarzy. Wchodząc po schodach – weszłam, ale schodząc – spadałam. Szramę po lewej stronie twarzy mam do dziś. Lęki odziedziczył również mój najstarszy syn.

Moja babcia

Babcia, którą kochałam nad życie. Jeździłam z nią do Nidzicy, robiłam jej jedzonko, troszczyłam się o nią. Lato spędzała na wsi, zimą była w mieście. Nie posiadała żadnych środków do życia. Bardzo przeżyłam jej śmierć, jednak płakać nie mogłam. Byłam wtedy w pierwszej klasie liceum.

Moja mama, rocznik 1923, w czasie wojny, mając szesnaście lat, straciła swojego brata Stanisława, długo poszukiwanego bez efektów przez Polski Czerwony Krzyż. Państwo polskie oferowało rodzicom odszkodowanie, jednak dziadek stwierdził, że żadnych pieniędzy nie chce. Krzywda, jaką wyrządzili hitlerowcy jest nie do powetowania. Nikt nam nie zwróci tych co zginęli! Mama była kobietą silną, starała się po wojnie radzić, jak na Matkę-Polkę przystało. W 1950 r. po wysiedleniach, rodzice osiedli na Pomorzu, w domu z 1937 r. Ojciec pracował w miejscowym tartaku i jednocześnie zajmował się uprawą roli. Żadnej pomocy socjalnej przy ośmiorgu dzieciach rodzice nie otrzymywali.

Liceum Wyspiańskiego

Młoda dziewczyna poznałam nowe koleżanki i brata przyrodniego, który w Dniu Kobiet

wręczył mi lizaka. Tak zaczęły się moje pierwsze miłości, od których uciekałam. Lubiłam taniec, muzykę i śpiew. Ależ o czym marzyłam – by zostać piosenkarką. Kolekcjonowałam wszystkie fotosy o piosenkarzach. Dużo wiem do dziś o gwiazdach, które już przemijają.

„Uparcie i skrycie – och! życie...kocham...”

Dzieci są sensem mojego życia

Byłam 22-letnią mamą, nie znałam co to ból i wychowanie syna. Zdana byłam na siebie... Mąż tylko zrobić umiał kolejne... drugie, trzecie dziecko, a o pomocy domowej nawet mu się nie śniło. Ciągłe go w domu nie było! Nie dążył, aby cokolwiek w domu było. Ja zmęczona życiem prosiłam Boga, by mi skrócił takie perfidne, bez miłości życie. Nie było w nim żadnej przyjaźni, ni też miłości. Wiele w naszym rodzinnym domu było złości, kłótni i wściekłości.

W takiej atmosferze wychowywały się nasze dzieci. Przykro mi było, gdy po latach córka stwierdziła: „lepiej by nam było w Domu Dziecka”. Ja kochałam dzieci i kocham, chociaż z córką dzielą nas stopy kilometrów. Tylko w głowie pozostał szum, nieprzespane noce... i pytania, dlaczego ja tak w tym związku uporczywie trwałam. Nie ma miłości – pozostała tolerancja. Zmęczenie organizmu, a w domu nic nie ma prócz codziennej, koszmarniej złości. Sukces, porwanie w wir pracy – to miłość bogaczy, a ja, skromna wiejska dziewczka – kochać chcę każdego człowieka... A nawet pieska!

Ta opowieść – to rzecz niepojęta, raz puszczone w ruch nie da się zatrzymać. „Kijem rzeki nie zawrócę”. Mogę tylko dążyć ku lepszemu, a czy ono nastąpi... opiszę.

reno14

czas na
CZAS
DLA NAS



po 3 PIECZEMY PIERNICZKI

Już czas, najwyższy czas, muszą jeszcze przecież poleżeć w blaszanym pudełeczku i nabrać kruchości. Już czas na świąteczne pierniczki!

Trzeba odkopać pudełko z foremkami, które leży nie wiadomo gdzie, ale na pewno się odnajdzie. Trzeba zgromadzić niezbędne składniki, zgodnie ze sprawdzonym wielokrotnie przepisem. Trzeba uzgodnić termin, wszak to rodzinna tradycja, że pierniczki pieczemy wspólnie, a od kiedy odkryliśmy kolorowe witrażyki to naprawdę niezła zabawa. Nawet mój mąż odrywa się od pracy i mozolnie zasypuje landrynkowym pyłem serduszka, precyzyjnie wycięte w uroczych gwiazdeczkach albo kółeczka (bombki, to są bombki!) w ciasteczkowej choince. A potem zdobienie lukrem, czekoladowymi gwiazdkami, sezamem i czarnuszką. No i podjadanie. Przecież zdarzy się jakieś drobne pęknięcie, a nawet przełamanie – jako ozdoba na choinkę się nie nadaje, a tym bardziej na prezent, ale można spróbować, czy smak taki jaki co roku, tradycyjnie świąteczny, czy odpowiednio wypieczone...

Wiem, że mogę kupić całe pudełka imbirowo-cynamonowych, kolorowych, wielokształtnych specjałów. Są smaczne i tanie, no i oszczędzają czas, którego zawsze za mało. Wspólne ciasteczkowe chwile są jednak bezcenne i warto wybrać jakiś sobotni, grudniowy wieczór na rodzinne spotkanie przy pierniczkach.

A kiedy nadejdzie czas jodłowego drzewka, będziemy zawieszać nasze wypieki na czerwonych wstążeczkach, wśród staromodnych bombek i współczesnych światełek. Zapach będzie snuł się po pokojach: Świąta. I już tylko śledzić pod wieloma postaciami, ziemniaczki w mundurkach, pierogi z kapustą i grzybami, barszczyk, karp, makaron z makiem i keks, ciężki od bakalii, kompot z suszu i żurawinowy kisiel: Świąta. A pod choinką kolorowe pudełka i pakunki, wstążki, kokardy, skrywające prezenty od serca: Świąta. I sianko pod obrusem, i wolne miejsce przy stole...

Znajomym zaniesiemy w darze pachnące imbirem, cynamonem, pomarańczową skórką i miodem gwiazdki, serduszka, renifery, księżycy i słońeczka, które tak pracowicie wycinaliśmy wśród beztroskiego śmiechu, nieodzownych wspomnień, rodzinnych pogaduszek przy kuchennym stole. Zaniesiemy część naszej radości, naszego bycia razem.

Tydzień po tygodniu mija nam na ciągłym przyspieszaniu i zapracowaniu, w fast-życiu... Tymczasem musi, po prostu MUSI nadejść taki czas, kiedy w zamyśleniu zwolnimy, zapatrzeni w gwiazdy, te na niebie i te na naszej domowej choince, kiedy przyjdzie pora na slow-życie, na niespieszne rozmowy przy stole z rodziną, z przyjaciółmi. Kiedy zegary zwolnią, a czas będzie wreszcie płynął w rytmie natury. Podarujmy sobie te chwile, upieczmy pachnące pierniczki i delektujmy się cudownym nicnierobieniem. Wesołych, rodzinnych Świąt Bożego Narodzenia!

Grażyna A. Rogala

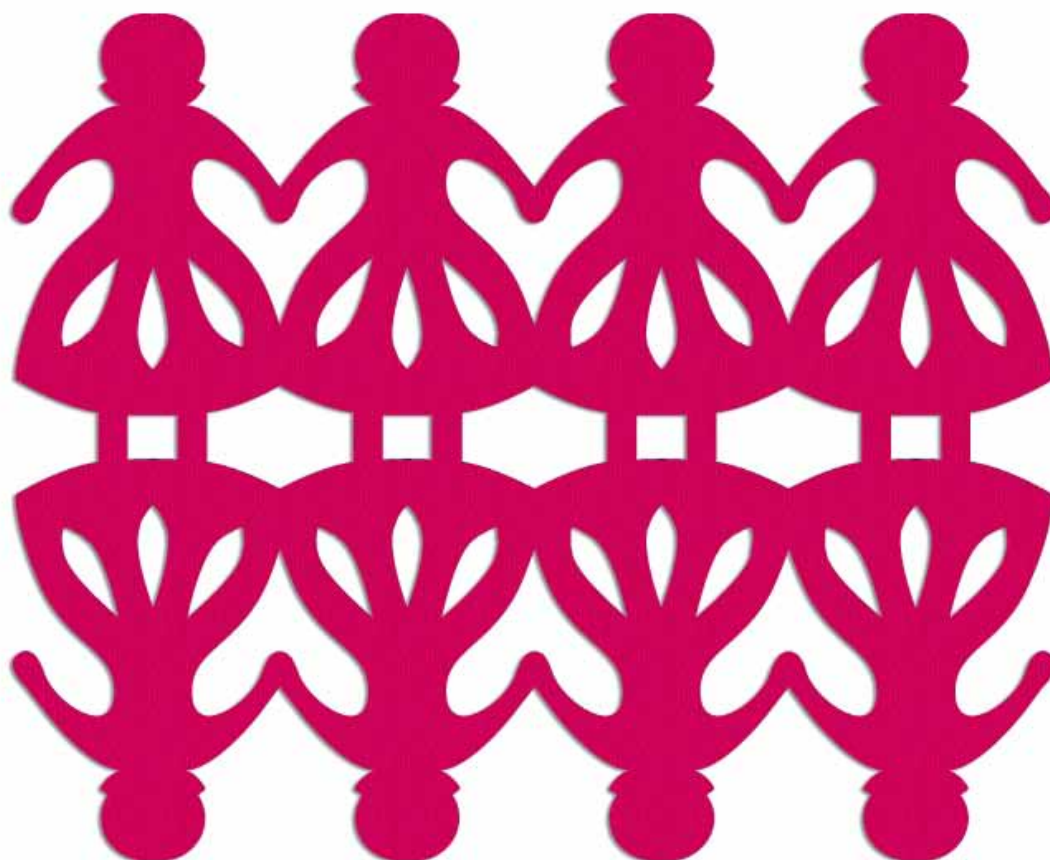
Poezja codzienności czyli pochwała ciszy

Dorota Kotowicz

Na poetę:

*Święty nieudacznik, stworzenia obraza
W świecie żyć nie potrafi, a więc światy stwarza.
Spędziwszy pracowicie dzieła dzień ostatni,
Czy potrafi sam uciec z raz stworzonej matni?*

DK



W drodze powrotnej z lotniska, jadę metrem. Zmęczona po dziewięciogodzinnym oczekiwaniu na spóźniony samolot, rozp(ł)aczliwie szukam miejsca siedzącego. Sprawa jest trudna, gdyż o tej właśnie godzinie współczesny kwiat rycerstwa czyli giełdowi i finansowi bojówkarze walczą o nie do pierwszej krwi. Po szaleńczym zrywie męstwa zasiadają wygodnie przed ekranem laptopa czy tableta, by sprawdzić czy jeszcze istnieją, tzn. czy dosłownie i w przenośni nie wypadli z kursu. Obojętni na los dzieci, kobiet w ciąży i mniej czerstwych staruszków spoczywają na laurach, marząc o chwili gdy będą mogli wypedałować nadmiar energii na siłowni. Jako kobieta w sile wieku nie mam żadnych szans. Jednakże nagle staje się cud: mam miejsce. Opadam na nie i przez chwilę myślę, że jednak się kręci... gdy nagle na scenie pojawia się Staruszek. Czerstwy, z laską. Włoch, myślę. Albo Marokańczyk. Rozgląda się wokół, z nadzieją. Ja również. Może któryś z rycerzy zauważy konieczność interwencji. Nadzieje jednakowoż okazują się płonne. Niewiasta z wdzięków a bohater z ducha ustępuje miejsca, przeklinając pod nosem godziny szczytu. Po czym udając, że to przez przypadek opieram z impetem ciężki plecak na nodze najbliższej siedzącego finansisty. Niech ma za swoje.

Na szczęście chwilę później pociąg zatrzymuje się na stacji węzłowej i większość ludzi wysiada. Zajmuję miejsce i znajduję się nagle naprzeciwko

Staruszka. Jest zamyślony. Słuchając muzyki, pozwalam wzrokowi prześlizgiwać się bezmyślnie po twarzach pasażerów, nie zatrzymując się na żadnej. W końcu pozwalam mu osiąść na twarzy Staruszka. Ten sięga do torby, wyjmując z niej książkę, którą okazuje się być wysłużona Gramatyka niemiecka. Nagle wyciąga ją w moim kierunku: po wewnętrznej stronie okładki drukowanymi literami po angielsku komunikuje się ze mną napis: "Polecam ci Rachmaninova". Bez zdziwienia, dziękuję uśmiechem i skinieniem głowy. Staruszek chowa książkę i zatapia się na powrót w rozmyślaniach.

W końcu dojeżdżam do mojej stacji. Podnoszę się z miejsca i pragnę pożegnać Staruszka, czując zobowiązanie wynikające z tej niemej wymiany zdań. „Do widzenia Panu” - mówię. "Au revoir, mademoiselle" – niewzruszenie odpowiada Staruszek. "Vous parlez francais?" - odzywam się zdziwiona. "Oui, vous aussi?" - pada odpowiedź, brzmiąca jak stwierdzenie raczej niż pytanie. Zdumienie powtórne... dlaczego nieznany mi człowiek w centrum anglojęzycznej metropolii przemówił do mnie bez ostrzeżenia w najlepiej znanym mi języku obcym... Lekko oszołomiona pytam: "To pewnie jeszcze kiedyś się przy okazji spotkamy?" „Non!" - odpowiada z kamienną twarzą i niewzruszoną pewnością Staruszek, machając mi podczas gdy bezgranicznie zdumiona opuszczam pojazd.

Niby nic niezwykłego - dwoje przypadkowych ludzi wymienia

przypadkowe uwagi w anonimowym środku transportu. Właściwie można by o tym zapomnieć. Kilka banalnych mikrozdarzeń stwarza kanwę dla osobistej refleksji. Kim był ten człowiek, skąd wiedział, że może odezwać się do mnie po francusku i że zostanie zrozumiany? Dlaczego polecił mi rosyjskiego kompozytora? Takie snucie niewidzialnych pajęczyn znaczeń między węzłami zdarzeń jest zjawiskiem dobrze znanym tym, którzy kochają dzieła orientalnych kaligrafów i malarzy oraz twórców haiku. Jest ono bowiem domeną poezji.

Można się z tym zgodzić lub nie, ale takie wypadki są manifestacją poezji świata. Nie można żyć bez poezji. Bo tak naprawdę czym jest poezja? A czym „prawdziwa materia świata”? Czym jest właściwa tkanka życia: trzeba jeść, spać, pracować i dbać o stosunki z innymi - to prawda, poparta badaniami i zdroworozsądkowym podejściem piramida potrzeb Masłowa wciąż stoi niewzruszona. Ale to tylko część prawdy. Bezinteresowne dostrzeganie powoduje, że pośród obowiązków i tego, czego się od nas wymaga czujemy się w pełni żywymi.

Poezja jest obecna w nauce. Poetą jest teoretyczny matematyk i fizyk, podejmujący badania nad zjawiskami, których wyniki być może nigdy nie zostaną spieniężone (nota bene: podobno śmiano się kiedyś z badań nad skupianiem wiązek światła, ubolewając nad brakiem ich konkretnego zastosowania..., bo któż

wtedy myślał o laserze!), obserwujący rzeczywistość bezinteresownie i w zachwycie dla jej złożoności i piękna. Poezja bowiem to coś, co wydarza się w ciszy pomiędzy słowami i wydarzeniami, gdy nie pędzimy i nie realizujemy swoich celów. To w tej mentalnej przestrzeni ważą się i drzemią procesy twórcze. Wewnętrzna cisza i zawieszenie, do których dostęp jest coraz bardziej ograniczony są niezbędnym warunkiem by spotkać się ze sobą i z innymi. Są niezbędnym warunkiem otwarcia na tworzenie.

Wiedzą o tym artyści, zwłaszcza tancerze. W momencie, gdy codzienność zanoszą się od paplania, reklamowych sloganów i wywodów logicznych, wypowiadanie się bez słów, poezja gestu i unaocznionego głębokiego doświadczania siebie i świata jest coraz bardziej obecna w praktyce artystycznej wielu kluczowych postaci współczesnej sceny. Pina Bausch, Ariane Mnouchkine, Sidi Larbi Cherkaoui czy też teatr Complicite z Wielkiej Brytanii pokazują jak taniec czy raczej teatr ruchu jest w stanie wyrazić rzeczy niewyraźne (lub wyrażane zbyt często) za pomocą słów. Używając swego osobniczego, jednostkowego doświadczenia artyści ci tworzą doświadczenie teatralne bez skryptu, które przez uogólnienie jednostkowości prowadzi do opisu całości ludzkiego doświadczenia. W pewnym sensie jest ono powrotem do samych korzeni teatru jako misterium, głębokiego, kolektywnego doświadczenia i przeżywania raczej niż po prostu

oglądania spektaklu poprzez chłodne szkiełko i oko dyskursywnego intelektu. Intensywna obserwacja najbardziej konkretnych przejawów rzeczywistości i codzienności na różnych jej poziomach, tak obecna w orientalnej praktyce medytacyjnej i artystycznej, a tak zapomniana w dobie szybkiej akumulacji dóbr i informacji, szybkiego zastępowania ludzi i rzeczy jest kluczem do pełni życia. Wystarczy pomyśleć o opisie rękawiczki Anny Kareniny. Oczywiście, człowiek zachodu jest kulturowo zaprogramowany na działanie i skuteczność, dzięki temu rozwija się nauka, medycyna i technologia, następują przemiany społeczne. Duch czasu jednak, ten wężowy i straszny Lewiathan prześlizgujący się obok nas z chrzęstem łusek, wydaje się dziś posiadać dwie głowy... z jednej strony uinformacyjnienie, wysoka celowość działań i wąska specjalizacja, z drugiej

dążenie do poszukiwania alternatywy dla zbudowanej na darwinowskim kapitalizmie ekonomii i merkantylnego sposobu myślenia. Taką alternatywą może okazać się tymczasowe porzucenie celowości działań na rzecz kontemplacji, poezji i ciszy.

Dlatego wyłączmy czasem telewizory i tablety. Przestańmy patrzeć bez przerwy na ekrany komórek. Oderwijmy wzrok od książek i gazet. Posiedźmy w ciszy. Rozejrzyjmy się wokół siebie: może jak w bajce pojawi się przed nami Staruszek lub Staruszka, którzy doradzą nam czego powinniśmy słuchać dziś wieczorem. Może przypadkiem w ciszy usłyszymy historię, która oderwie nas od utartych schematów myślenia i skieruje nasze życie na nowe tory... Kto wie? W końcu ktoś kiedyś określił przypadek innym imieniem Boga.

DK



*W tym wyjątkowym okresie składamy Wam, drodzy
Czytelnicy, najgorętsze życzenia ciepłych, rodzinnych Świąt.
Nieporozumienia minionego roku niech zejść na dalszy plan,
wszelkie troski i problemy odejść w zapomnienie
by w pozytywnym nastroju wkroczyć w Nowy Rok.*

Zespół Gazetowni & Stowarzyszenie PI-stacja



Ewelina Penconek

Jeszcze chwila i dogoni nas świąteczny pęd, otaczać nas będą mikołaje, śnieżynki, gwiazdki i wszystkie pozostałe symbole Bożego Narodzenia. I jak się nie dać zwariować? Jest to chyba dosyć ciężkie. W naszej kulturze i tradycji na wigilijnym stole królują ciężko strawne potrawy. Jak chociaż trochę to zmienić? To wbrew pozorom nic trudnego, a oto kilka przykładów:

Barszcz czerwony z uszkami – buraki to witamina C i wapń; aby zachować wartościowy barwnik należy dodać do barszczu odrobinę octu bądź soku z cytryny, żeby barszcz nie był kwaśny, wystarczy włożyć do niego pół jabłka.

Zupa grzybowa – grzyby to substancje o działaniu antybiotycznym; ale nie zabielaćmy zupy.

Karp – wartościowa ryba z witaminami z grupy B; zamiast podawać go w panierce, przygotowanego na patelni, upieczmy w rękawie foliowym z przyprawami; nie wskazane są również sosy.





Śledzie – ryby morskie, tłuste, zawierają kwasy omega 3; aby były lżejsze, możemy przygotować je m.in. w jogurcie bądź occie.

Pierogi z kapustą i grzybami – pierwiastki zasadotwórcze, witaminy PP, B1; uważać powinny osoby z chorobami nerek, wątroby, układu pokarmowego; przygotowane pierogi ugotujmy w osolonej wodzie (sól dodajemy pod koniec gotowania, by skrócić jego czas) bądź przypieczmy w piekarniku.

Kapusta z grochem – kapusta ma związki przeciwnowotworowe,

a groch zawiera błonnik pokarmowy; aby wyeliminować nadmiar cukru z grochu należy go zalać wrzątkiem w proporcjach 1:4 i dokładnie wymoczyć minimum 20 minut.

Salatka jarzynowa – zamiast majonezu dodajmy odrobinę jogurtu oraz musztardy dla smaku.

Kutia – pszenica/pęczak, mak, miód, bakalie; zawiera wiele witamin m.in. A, C, D, E oraz błonnik; raz do roku należy się nią zająć.

Makowiec – mak jest bogaty w wapń; nie dodawajmy cukru, wystarczy zamiast cukru dodawać więcej rodzynek; ograniczmy ilość oleju oraz miodu, zrezygnujmy ze słodkiego lukru.

Kompot z suszu – przyspiesza pracę jelit, poprawia trawienie; suszone owoce są już słodkie, więc nie dodawajmy dodatkowo cukru do kompotu.

Po wigilijnej kolacji proponuję wypić napar z owocu kopru włoskiego i owocu mięty pieprzowej. Mięta przeciwdziała zaburzeniom trawienia, koper włoski zaś pomaga przy uczuciu pełności. Do szklanki należy wsypać po łyżeczce mięty oraz owocu kopru włoskiego, ziola zalać wrzątkiem, przykryć np. małym talerzykiem, by "naciągnęły" na 5-7 minut. Następnie należy przelać napar do drugiej szklanki i pić małymi łykami co 3minuty.

Wszystkim Czytelnikom „Gazetowni” życzę spokojnych, radosnych i rodzinnych Świąt. Do przeczytania w styczniu w nowym przystanek zdrowie.

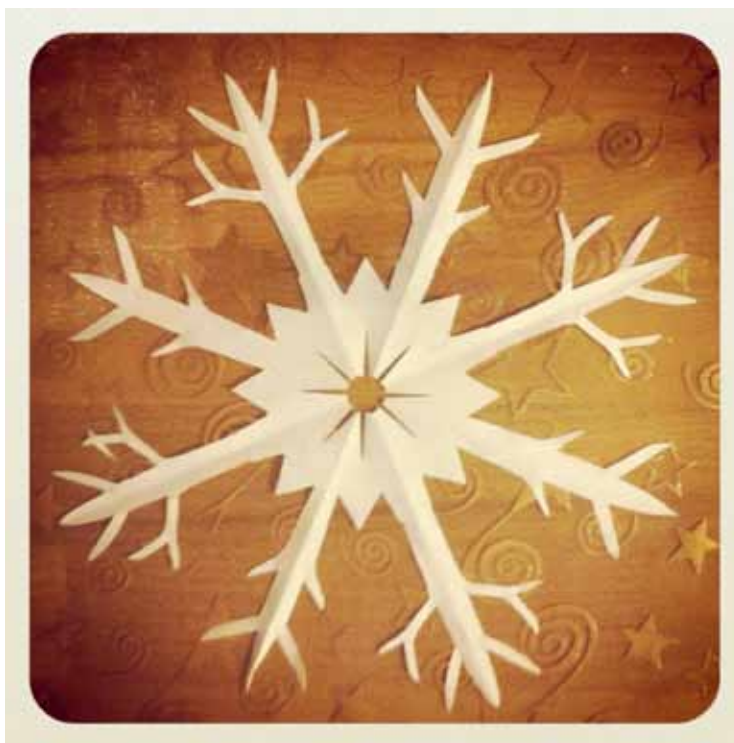
EP



W rodzinie

nic nie ginie





Ciąg dalszy rozmowy **Kasi Bożyk** z **Renatą Śmietanką**,
psycholożką, absolwentką Szkoły Wyższej Psychologii
Społecznej w Warszawie, współzałożycielką
Pracowni Aktywnego Działania „Półpiętro”, specjalizującą
się w pomocy psychologicznej dzieci i młodzieży,
m.in. w trudnościach w uczeniu się, radzeniu
sobie ze stresem, uzależnieniami.

Podczas naszych poprzednich spotkań omawialiśmy tematy związane z patologiami, ich przyczynami oraz skutkami. Jednym z najważniejszych z poruszonych przez nas źródeł różnego rodzaju zaburzeń i uzależnień było życie rodzinne. Jednak o ile każdy z nas zdaje sobie raczej sprawę z tego, że bardzo silne wzorce, pozytywne czy negatywne, wynosimy z rodziny i idziemy z nimi dalej przez życie, to czy jesteśmy świadomi tego, jak wiele innych, nawet najdrobniejszych nawyków czy cech zawdzięczamy naszym bliskim, rodzicom, czy rodzeństwu? Bądź też, czy będąc rodzicami, zdajemy sobie sprawę z tego jak wiele z naszych zachowań wpływa na kształtowanie się charakteru naszego dziecka? Czym tak naprawdę jest rodzina, gdzie kończy się jej wpływ, a gdzie zaczyna nasza indywidualność?

Według psychologów rozwojowych osobowość człowieka kształtuje się od momentu pojawienia się na tym świecie aż do chwili śmierci. Każdy moment naszego życia to czas, kiedy możemy się rozwijać i zmieniać. Erik Erikson – twórca teorii rozwoju psychospołecznego – podzielił życie na etapy. W każdym etapie człowiek nabywa pewne określone kompetencje. Pierwszy etap to pierwszy rok życia, w którym budowane jest podstawowe zaufanie do świata na bazie relacji matka-dziecko. Jeśli mama adekwatnie odpowiada na potrzeby dziecka w tym wieku, to rodzi się w nim zaufanie najpierw do osób z najbliższego otoczenia, a potem do innych. Jeśli natomiast coś pójdzie nie tak, nastąpi jakieś załamanie bądź kryzys – np. mama długotrwale zachoruje, wpadnie w depresję, etc., a nikt inny nie okaże dziecku wystarczającego ciepła i miłości, to taki człowiek w dorosłym życiu może mieć problemy z nawiązywaniem relacji opartych na zaufaniu.

A więc już to, co przeżywamy w pierwszych miesiącach po urodzeniu ma ogromny wpływ na naszą psychikę w dorosłym życiu?

Erikson wymienia osiem takich etapów życiowych, z których każdy powoduje rozwój konkretnej kompetencji, która wpływa na kształtowanie się tożsamości człowieka. To co istotne w tej teorii to założenie, że człowiek nie jest samotną wyspą i rozwija się w oparciu o interakcje z innymi ludźmi, które wpływają na nas, na nasze decyzje, charakter, na to jakich ludzi wybieramy sobie na przyjaciół, partnerów życiowych. Nie byłoby nas nie tylko fizycznie, ale i psychicznie, gdyby nie drugi człowiek.

Nasuwa się zatem oczywisty wniosek, że to, jakimi osobami będziemy w dorosłym życiu zależy od naszych najbliższych.

To prawda. Obserwując dzieci i ich rodziców, rozmawiając z nimi widać, że „niedaleko pada jabłko od jabłoni”, w sensie zarówno pozytywnym, jak i negatywnym. Czasem

przychodzi do mnie rodzic i pyta „dlaczego ten mój syn jest taki uparty, skąd się to wzięło”, po czym sam sobie odpowiada: „ale właściwie ja taki sam jestem, moja żona nie może ze mną czasami wytrzymać”. Czy inny przykład, kiedy mama jest osobą niezależną, silną, a zastanawia się dlaczego jej 3-letnia córka jest taką przysłowiową „Zosią samosią” i pyta „dlaczego ona tak bardzo nie lubi i denerwuje się, gdy chcę jej pokazać jak coś zrobić, wszystko musi sama wykoncypować”.

Tak więc Pani pytanie zadane we wstępie – gdzie kończy się wpływ naszych rodzin, a gdzie zaczyna nasza indywidualność – jest jak najbardziej zasadne. Czy w ogóle możemy się wyrwać z tego wpływu? Myślę sobie, że tak i nie. Jakże często obserwując siebie, zauważamy zachowania, których nie lubimy w sobie i bardzo chcielibyśmy je zmienić, lub też nasi partnerzy zauważają w nas cechy naszych rodziców i mówią, „jesteś taka sama jak Twoja matka”. A my się wkurzamy, bo tej właśnie cechy nie cierpieliśmy w swoim rodzicu i obiecywaliśmy sobie, że nigdy nie będziemy tak robić czy mówić. A jednak to się dzieje, działamy jak automaty.

Czy istnieje zatem jakikolwiek sposób, aby się zmienić? Czy też zawsze będziemy echem swoich rodziców?

Są takie chwile, w których uświadamiamy sobie, że nie odpowiada nam coś w życiu, coś nas uwiera, coś zgrzyta i nie chcemy dłużej funkcjonować według starego schematu bądź już się tak nie da z różnych powodów. Pojawia się kryzys. Kryzys zwykle kojarzy się negatywnie z jakimś brakiem, zmaganiem się czy końcem czegoś. W tym przypadku jednak kryzys, choć bolesny, może być szansą na zmianę tego, co już nam nie pasuje. Jest to trudne, bo niejednokrotnie boimy się zmian. To co stare, choć powoduje dyskomfort, jest znane i jednocześnie bezpieczne, a to co nowe, co przed nami jest niewiadomą, jest ryzykiem, bo nie mamy pewności, że przyniesie pozytywne efekty. Gdy zdecydujemy się konstruktywnie podejść do kryzysu, możemy odkryć nowy potencjał ukryty w sobie. Paulo Coelho powiedział gdzieś, że „człowiek powinien wybierać swój los a nie zadowalać się tym co dostaje”. Dlatego nie bójmy się przekraczać samych siebie, wchodzić na nowe ścieżki, bo jak gdzieś wyczytałam, to los sprzyja otwierającym nowe rozdziały.

Dziękuję za rozmowę.

Kasia Bożyk

WIEDŹMA

Katarzyna Bartsch-Cielebon
powieść w odcinkach
cz. XXIV

Parskanie mokrych końskich chrap rozległo się jak śmiech. Ogromny czarny wierzchowiec najechał na nią. Przewrócił i wbił w ziemię. Marianna obudziła się. Gwałtownie usiadła na pośłaniu. Przez moment dochodziła do siebie. Wydało się jej, że słyszy rozlegający się po lesie tupot końskich nóg. Jakieś przeczucie kazało się jej zerwać z pośłania. Szarpnęła córkę za ramię.

– Wstawaj – nakazała – coś się dzieje. Nie zważając na strwożone, pytające spojrzenia dziewczyny, otuliła Miłka najszczelniej jak potrafiła.

– Biegnij z nim w las. A jeżeli tutaj zaczniesz coś dziać... – zastanowiła się chwilę – uciekaj do wsi. Tam, na pewno ktoś cię ukryje. Pamiętaj, nie wracaj tu! Pod żadnym pozorem – dodała twardo. – Ja po ciebie przyjdę – Spróbowała uspokoić niepokój córki – Kocham cię... Bardzo. A teraz idź już – wypchnęła dziewczynę z chaty. Jej spojrzenie padło na węszącego

w powietrzu psa – idź już – ponagliła.

Dziewczyna wybiegła przez dziurę poza płot i stanęła.

– Idź, proszę..., posłuchaj mnie chociaż ten jeden raz – głos Marianny zaczynał drżeć od wzrastającego napięcia.

Dziewczyna oglądając się odeszła. Schowała się za kępą krzaków, rosnącą na skraju polany. Do jej uszu dotarły odgłosy nadjeżdżających konnych. Cztery ciemne i wyolbrzymione przez mrok postacie dotarły do obejścia. Dwie z nich trzymały zapalone łuczywa. Migocące cienie kładły się ciemnym skrzydłem na chacie. Zeskoczyli z koni. Odina posłyszała brzęk mieczy i wołanie. Donośne, butne, groźne. Z drużyny pana Thomasa. To czego się bała, nadeszło.

– Przybyliśmy tu z nakazu pana! Po jego własność!

– Tylko zbójce zakradają się nocą do cudzej zagrody – dosłyszała gniewny głos matki zza zamkniętych drzwi.

– Wychodź kobieto, z rozkazu pana,



nakazuję ci – zawołał ponownie mężczyzna – inaczej... – zawahał się na moment, jakby szukając odpowiednich słów – spalimy ten dom ...i was razem z nim.

Odina dłużej nie czekała. Nie chciała dłużej tego oglądać. Matka, na pewno da sobie jakoś radę! A jeżeli nie da? Zatrzymała się nagle i obejrzała niepewnie na zagrodę. Coś targnęło jej sercem. Zaciśnęła zęby i spojrzała na okrągłą twarzyczkę synka. Przygarnęła go do siebie i zaczęła iść, najciszej jak mogła. Stąpające w miejscu konie robiły jednak tyle hałasu, że nawet trzask łamiącej się jej pod nogą gałęzi nie zwrócił uwagi przybyszów. Kiedy odeszła na znaczną odległość, zaczęła biec. Miłek obudzony gwałtownym ruchem rozplakał się.

– Cicho, cicho malutki – zaszepotała. Naraz naszło ją poczucie ogromnej straty. Zrozumiała, że godzi się na śmierć matki, za cenę życia synka.

Ta myśl zapiekła ją jak sól rzucona na ranę.
– Nie dam cię nikomu, nikomu cię nie oddam – zapewniła.

Biegła, potykając się o wyrastające z ziemi korzenie. Zobaczyła zarysy wiejskich chat. Zdyszana próbowała schwycić powietrze. Dziecko płakało rozdzierająco. Zapukała do drzwi najbliższego obejścia. Szmery za nimi powiedziały jej, że domownicy się obudzili

– Kto tam? – zapytał chrapliwy, zaspany męski głos.

– To ja... Odina... pan najechał na naszą chatę... wpuście mnie – poprosiła ze łzami.

Zza zamkniętych drzwi dochodziły stłumione głosy. Sarkanie.

– Odejdź, nie mam tu dla ciebie miejsca – krzyknął gniewnie głos.

– Proszę, wpuście mnie, oni mi zabiorą synka...

– Mówiłem już, odejdź.

– Błagam...

Na całej polaci śnieg
w przeróżnej postaci
śnieg...

Najlepszy śnieg
krajowy
po prostu śniegów
AS

– Nie chcemy mieć z tobą nic wspólnego. Idź, może ktoś inny cię weźmie – dorzucił jakby bardziej ugodowo.

Odina zerwała się. Pobieгла do następnych zabudowań, ale historia się powtórzyła. Psy zaczęły ujadać, niektóre drzwi się otwierały. Biegła w ich kierunku, wciąż z nadzieją, ale już słabnącą. Ludzie, kiedy dostrzegali ją biegnącą z dzieckiem w ich kierunku, zatrzymywali jej wejście. Jakby widzieli ją pierwszy raz. Była tu obca.

– Matko, pomóż – płakała Odina – proszę, mówiłaś, że ktoś mnie ukryje, proszę – synek przestraszony hałasem wtórował jej żałośnie cieniutkim głosikiem. Odina dobiegła do ostatniej chaty, na krańcu wsi. Padła na kolana. Zapukała nieśmiało, bezsilnie.

– Kto tam? – rozległo się ponownie pytanie.

– To ja, Odina – chlipnęła tuląc się do chropowatego drewna. Czoło oparła o drzwi – proszę, mamó, pomóż mi, proszę

– zaszepiała, spoglądając w skrzywioną płaczem twarz dziecka.

Ponowne szmery, jakieś przepychanie. Drzwi otworzyły się. Biorg zobaczył dziewczynę klęczącą na progu. Jakieś liście i gałązki wplotły się w jej stargane włosy. Dziecko na jej ręku rozpaczliwie kwiliło. Wyrżał przed drzwiami, czy aby nikogo jeszcze nie widać. Drzwi od chałup były pozatraskiwane na głucho.

– Błagam – wyszeptała Odina – błagam...

– Wejdz – ustąpił jej z drogi.

Wsunęła się na kolanach, przytrzymując dziecko. Zauważyła gniewne spojrzenie stojącej za mężczyzną kobiety. Przestraszone, a równocześnie zaciekawione dzieci wystawiały główki nad leżącymi na postaniu skórąmi. Biorg wskazał jej miejsce przy palenisku.

– Usiądź i ogrzej się przy moim ogniu. Jesteś moim gościem i nic złego nie może cię spotkać – gniewnie popatrzył na żonę. – Dlaczego przybiegłaś do wsi?

– zapytał kucając przy niej.



Odina podała pierś synkowi i popatrzyła w jego oczy. Maluch przytulił się i zaczął ssać. Uspokoił się i utulił.

– Pan nas najechał, moja mama została... – nie była w stanie powiedzieć nic więcej. Łzy same popłynęły po policzkach. Świadomość straty raz jeszcze nią zawładnęła.

Mężczyzna zerwał się. Rozejrzał się po domu. Zdawało się, że nie widzi groźnego spojrzenia żony, ani dziecięcych główek. Podszedł do ściany i schwytał siekierę przymocowaną przy wejściu. Żona zagroziła mu wyjście.

– Nigdzie nie pójdziesz! – zwróciła się do niego surowo – tu jest twój dom, twoje dzieci i ich masz bronić, nimi się opiekować.

– Odsuń się głupia kobieto – krzyknął, próbując ją odepchnąć od drzwi. Złapała się mocno framugi. Nie chciała puścić. Paznokcie wbite w drzewo nabiegły jej krwią. Pomimo to nie puszczała. Jej oczy błyszczały, a pierś falowała szybko.

– Nie dość, że ściągasz na nas gniew pana, ryzykujesz życiem swoich dzieci, to jeszcze będziesz bronić tej wiedzy?! – nie popuszczała Lena. – Tej wywłoki, która zwodzi cudzych mężów, bo swojego nie ma!

Biorg popatrzył na nią groźnie.
– Zejdź z moich oczu, kobieto, odsuń się, albo zrobię ci krzywdę – zapowiedział.

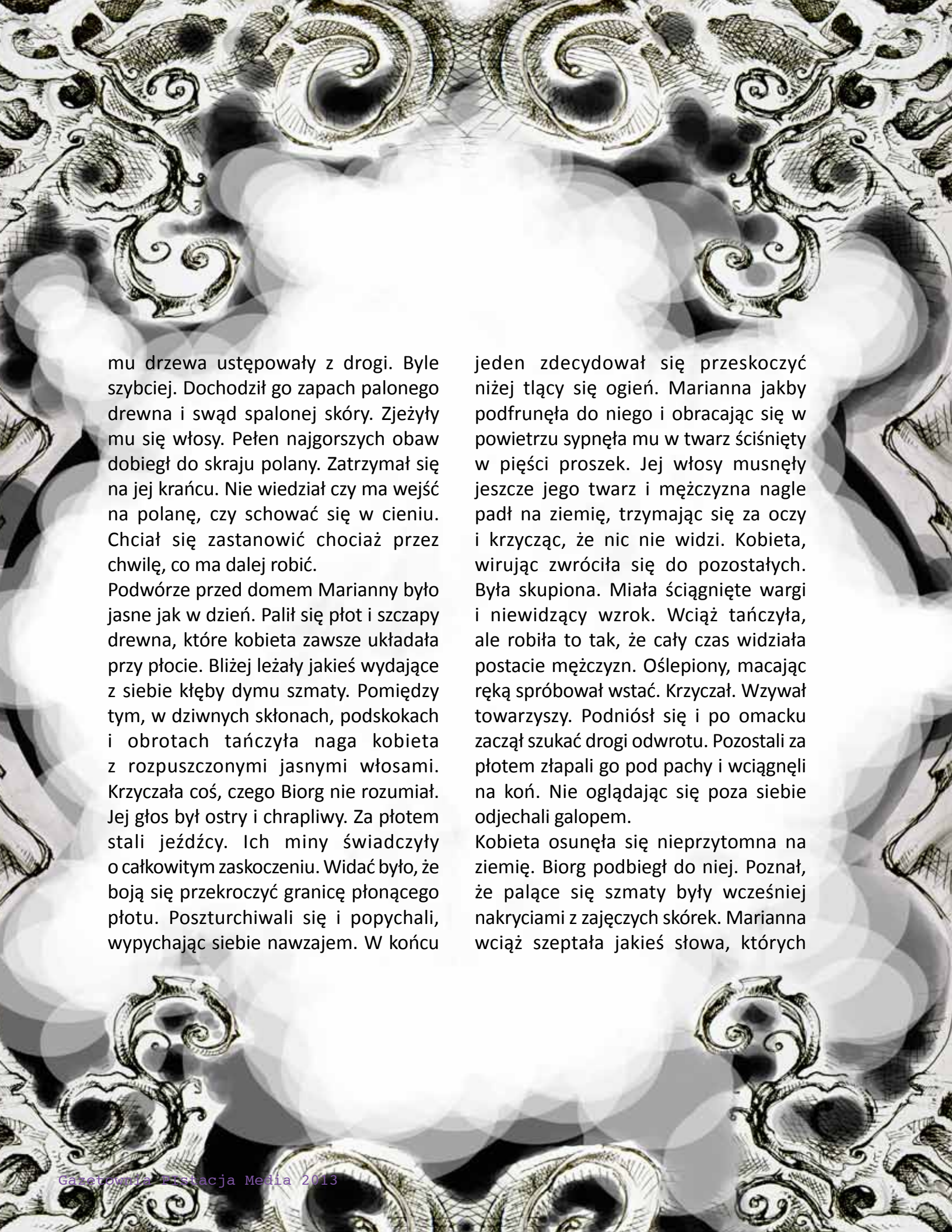
– Nie odsunę się. Musisz mnie zabić – dumnie podniosła głowę, piękna i groźna.

– Nie odsunę się. Musisz mnie zabić – dumnie podniosła głowę, piękna i groźna.

Mężczyzna odepchnął ją od wyjścia i wybiegł przed dom.

Cała siła nagle odpłynęła z jej ciała. Jak fala wracająca do morza osunęła się na klepisko i tylko wzrokiem poprowadziła oddalającą się biegiem w ciemność sylwetkę męża.

Biorg biegł jak mógł najszybciej, nie zastanawiał się nad tym co zrobił, ani co uczyni, jeżeli dobiegnie. Biegł byle prędzej. Nie kierował się przez wieś, ale od razu wkroczył do lasu. Znane

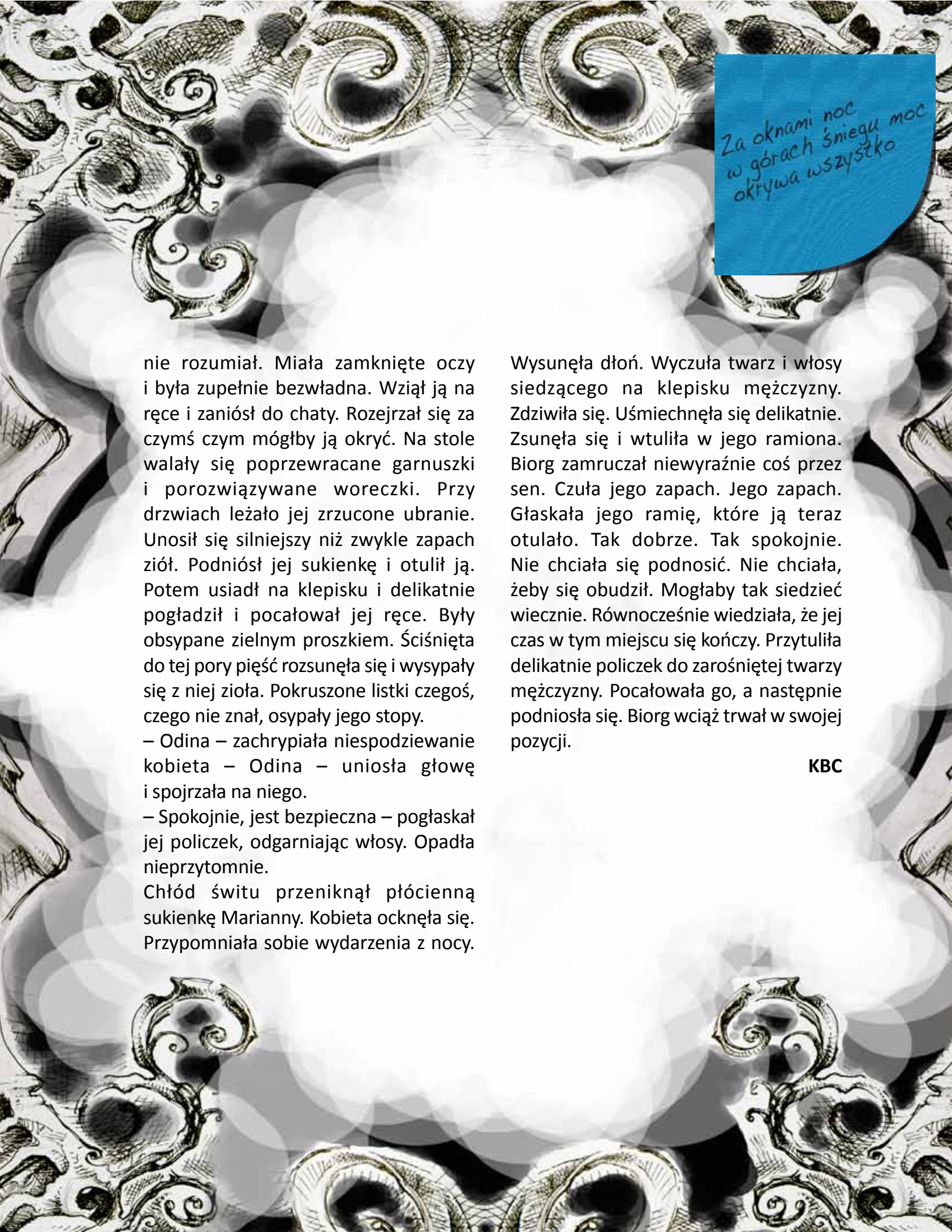


mu drzewa ustępowały z drogi. Byle szybciej. Dochodził go zapach palonego drewna i swąd spalonej skóry. Zjeżyły mu się włosy. Pełen najgorszych obaw dobiegł do skraju polany. Zatrzymał się na jej krańcu. Nie wiedział czy ma wejść na polanę, czy schować się w cieniu. Chciał się zastanowić chociaż przez chwilę, co ma dalej robić.

Podwórze przed domem Marianny było jasne jak w dzień. Palił się płot i szczapy drewna, które kobieta zawsze układała przy płocie. Bliżej leżały jakieś wydające z siebie kłęby dymu szmaty. Pomiedzy tym, w dziwnych skłonach, podskokach i obrotach tańczyła naga kobieta z rozpuszczonymi jasnymi włosami. Krzyczała coś, czego Biorg nie rozumiał. Jej głos był ostry i chrapliwy. Za płotem stali jeźdźcy. Ich miny świadczyły o całkowitym zaskoczeniu. Widać było, że boją się przekroczyć granicę płonącego płotu. Poszturchiwali się i popychali, wypychając siebie nawzajem. W końcu

jeden zdecydował się przeskoczyć niżej tłący się ogień. Marianna jakby podfrunęła do niego i obracając się w powietrzu sypnęła mu w twarz ściśnięty w pięści proszek. Jej włosy musnęły jeszcze jego twarz i mężczyzna nagle padł na ziemię, trzymając się za oczy i krzycząc, że nic nie widzi. Kobieta, wirując zwróciła się do pozostałych. Była skupiona. Miała ściągnięte wargi i niewidzący wzrok. Wciąż tańczyła, ale robiła to tak, że cały czas widziała postacie mężczyzn. Oślepiiony, macając ręką spróbował wstać. Krzyczał. Wzywał towarzyszy. Podniósł się i po omacku zaczął szukać drogi odwrotu. Pozostali za płotem złapali go pod pachy i wciągnęli na koń. Nie oglądając się poza siebie odjechali galopem.

Kobieta osunęła się nieprzytomna na ziemię. Biorg podbiegł do niej. Poznał, że palące się szmaty były wcześniej nakryciami z zajęczych skórek. Marianna wciąż szeptała jakieś słowa, których



Za oknami noc
w górach śniegu moc
okrywa wszystko

nie rozumiał. Miała zamknięte oczy i była zupełnie bezwładna. Wziął ją na ręce i zaniósł do chaty. Rozejrzał się za czymś czym mógłby ją okryć. Na stole wały się poprzewracane garnuszki i porozwiązywane woreczki. Przy drzwiach leżało jej zrzucone ubranie. Unosił się silniejszy niż zwykle zapach ziół. Podniósł jej sukienkę i otulił ją. Potem usiadł na klepisku i delikatnie pogładził i pocałował jej ręce. Były obsypane zielnym proszkiem. Ściśnięta do tej pory pięść rozsunęła się i wysypały się z niej zioła. Pokruszone listki czegoś, czego nie znał, osypały jego stopy.

– Odina – zachrypiała niespodziewanie kobieta – Odina – uniosła głowę i spojrzała na niego.

– Spokojnie, jest bezpieczna – pogłaskał jej policzek, odgarniając włosy. Opadła nieprzytomnie.

Chłód świtu przeniknął płócienną sukienkę Marianny. Kobieta ocknęła się. Przypomniła sobie wydarzenia z nocy.

Wysunęła dłoń. Wyczuła twarz i włosy siedzącego na klepisku mężczyzny. Zdziwiła się. Uśmiechnęła się delikatnie. Zsunęła się i wtuliła w jego ramiona. Biorg zamruczał niewyraźnie coś przez sen. Czula jego zapach. Jego zapach. Głaskała jego ramię, które ją teraz otulało. Tak dobrze. Tak spokojnie. Nie chciała się podnosić. Nie chciała, żeby się obudził. Mogłaby tak siedzieć wiecznie. Równocześnie wiedziała, że jej czas w tym miejscu się kończy. Przytuliła delikatnie policzek do zarośniętej twarzy mężczyzny. Pocałowała go, a następnie podniosła się. Biorg wciąż trwał w swojej pozycji.

KBC



..... UCIECZKA NA MANOWCE

Z pozoru to opowieść o dwóch kobietach, które mają romans z wymaginywanym nożownikiem z lasu. Z pozoru niewiele więcej te dwie historie łączy. Z pozoru całość prowadzi do nikąd. Bargielska zdaje się zszywać swoją narrację z różnych, niekoniecznie dokładnie pasujących do siebie skrawków.

W dodatku nawet nie stara się ukrywać fastrygi. Do dwóch wyraźnie nakreślonych protagonistek (singielki i młodej matki) dodaje epizodyczne story fryzjerek, sklepikarek, sąsiadek.

Ale przez niby dziury w szwie widać drugie dno „Małych lisów”.

Dość przykre dno rozczarowania rutyną, niespełnieniem i brakiem namacalnego sensu życia. Coraz bardziej zgorzkniałe, wypalone i cierpkie bohaterki szukają ucieczki. Dwie główne znajdują ją w romansie z niebezpiecznym człowiekiem z lasu. Prawdziwym, nieprawdziwym? Nieważne. Ważne, że wyzwala je to od utartych schematów.

Mamy więc modelowy przykład współczesnej młodej prozy polskiej.

Tej bardziej modnej, bo pozwalającej się ubrać w feministyczne analizy wizerunku kobiecości itp., itd. Łatwo można było zabić ten temat przyciężką narracją, poważnym tonem czy programową publicystyką. Czyli nuda, panie i panowie. Otóż nic z tego. A do tego Bargielska postanowiła się zabawić czytelnikiem. Nie szczędi ironii i wisielczego humoru. Z lubością i zamięłowaniem łączy groteskę z tragedią i to często w jednym zdaniu. Właściwie nigdy nie wiadomo, gdzie nas zaprowadzi. Autorka wodzi nas za nos koncertowo i z uśmiechem. I jeśli to kupimy, będziemy się śmiać razem z nią. Aż do finału, którym da nam do myślenia. Mocno i na długo. Trudno mówić o uroku tej prozy, bo autorka nie pomaga w takiej klasyfikacji. Zresztą, to wymykanie się z wszelkich kategorii jest chyba z góry założone. Jedno jest pewne. Uwodzi językiem jak mało kto. Do tego z wdziękiem przekracza granice, także te gatunkowe, znajdując głębię tam, gdzie inni przed nią nanieśli już kupę „gnoju”.

Justyna Bargielska, *Male lisy*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2013



..... **DIAGNOZA:** **SAMOTNOŚĆ**

„Cztery opowiadania. List do ojca” to szczególna porcja prozy Franza Kafki. Aż trzy teksty („Wyrok”, „Przemiana” oraz „Kolonja Karna”) pisarz opublikował za życia. A wiadomo przecież, że Kafka nie cenił zbytnio swojej twórczości. Do tego stopnia, że polecił swemu przyjacielowi spalić po swej śmierci niepublikowane utwory, czyli większość swych dzieł. Na szczęście adresat tej prośby, Max Brod, nie był dobrym wykonawcą testamentu, dzięki czemu możemy zaczytywać się w genialnych tekstach austriackiego pisarza.

Prezentowany tomik zawiera także „Jamę” oraz „List do ojca”. Ten ostatni jest szczególnie interesujący. Z jednej strony może być autentycznym listem Kafki, z drugiej – wypowiedzią artystyczną o charakterze osobistego wyznania. Autor formułuje w nim oskarżenie wobec tradycji, którą uosabia ojciec. Franz (bo tak jest podpisany list) pragnie wejść w relację z ojcem, jednocześnie ją odrzuca, a i sam jest odrzucany. Dobry tekst, który może być też kluczem interpretacyjnym do całej twórczości Kafki, w której często pojawia się motyw nieudanej relacji ojca i syna. Tutaj choćby w „Wyroku” i „Przemianie”. Okrutny ojciec jest symbolem otaczającego świata, jego wartości, systemu. Dialog z nim jest niemożliwy. Bunt z góry skazany na niepowodzenie.

- Pozostałe opowiadania tomiku jeszcze mocniej akcentują osaczenie,
- samotność i poczucie nieustannego zagrożenia kafkowskiego bohatera,
- wydalonego z własnej tożsamości, jestestwa, który nie ma poczucia
- przynależności. Dookolny, zhierarchizowany świat działa jak automat, bez
- refleksji i wejścia na pojedynczego człowieka.
- To, co fenomenalne w Kafce, to niezwykła przenikliwość w diagnozie
- czasów, w których żył, ujęta w doskonałą formę. Metaforyczne obrazy
- dotyczące kondycji współczesnego człowieka łączą w sobie abstrakcję
- i groteskę. Mają też uniwersalny charakter, trafnie opisując dzisiejszą
- rzeczywistość. Niewesołe to, ale prawdziwe. W dodatku czarnowidztwo
- made in Kafka jest miłym oddechem po „morfinach” czy „wojnie na
- pograniczu wschodnim” w wykonaniu mało radosnego najmłodszego
- pokolenia polskiej prozy.

- Franz Kafka, *Cztery opowiadania. List do ojca*, tłum. Juliusz Kydryński
- i Jarosław Ziółkowski, PIW 2003
-

Agata Wiśniewska

.....
**ŻYĆ JAK
W
BULLERBYN**

Gdybym miała przenieść się znów w czas dzieciństwa, chciałabym trafić do Bullerbyn. Bez dwóch zdań. To magiczne miejsce, które kochałam jako dziecko, wciąż jest we mnie, gdzieś głęboko i mimo że minęło już tyle lat (przepraszam, że nie zdradzę dokładnie ile...), to Bullerbyn jest tym miejscem, które kocham spontanicznie i platonicznie, miłością tą najlepszą, bo szczerą i (wciąż) trochę dziecięcą.

- Bullerbyn to mała wioska, gdzieś w Szwecji, ale kiedy byłam dzieckiem, mało mnie obchodziło, gdzie to jest. Najważniejszy był fakt, że dzieci tam są tak zwyczajnie szczęśliwe, że mają się z kim bawić (mimo że jest ich tam tylko sześcioro), że ich życie jest proste, łatwe i przyjemne. Zazdrościłam im domków z ręcznie tkanymi chodniczkami, dziadka, prostych lecz jakże cennych zabawek, szaleństw na łące i zabaw w sianie, ale przede wszystkim systemu komunikacji na sznurkach. Och, jakże pragnęłam mieć taki system... Niestety, życie w blokowisku nie sprzyja rozwiązaniom z wiejskiej zagrody.
- Ale marzenia pozostały i gdzieś w środku, moje wewnętrzne dziecko, wciąż ma nadzieję, że jeszcze kiedyś spotka mnie coś tak dobrego jak Bullerbyn. Bo powiedzcie szczerze, kto z was ich nie kochał?
- Nie marzył by być jednym z nich? By chodzić z nimi do małej szkoły, chować się w labiryntach zbudowanych w stogach siana, odkrywać tajemnice chłopców razem z dziewczynkami lub szpiegować i straszyć dziewczynki razem z chłopcami... Proste życie potrafiło wprawić mnie w zachwyt i to taki, który trwa. W sumie to dziwne. Nie było tam wielkich przygód, szaleństwa, czarów, magii, tylko sześcioro dzieciaków, będących przyjaciółmi, choć w odniesieniu do siebie nie używali przecież tego słowa. Ale jak widać na moim przykładzie, to może zauroczyć. Przyjaźń bez wielkich słów. I prostota tych relacji w świecie nie zdominowanym przez nowoczesność w domu i zagrodzie. Wiem doskonale, że zajrzę tam jeszcze, gdy mój Syn dorośnie na tyle, by poznać spokojne i poukładane Lisę, Annę i Brittę oraz szalonych chłopaków Lassego, Bossego i Ollego z jego psem Svipem, których na pewno pokocha. No dobrze, przyznam, że trochę się niepokoję czy pokocha ich tak bezwarunkowo jak ja? Ha! Czy w ogóle okaże im zainteresowanie w galopującym cyfrowo świecie, zwykłym dzieciakom, z prostej wiejskiej zagrody, które nie bawią się smartfonami ani nie grają w gry komputerowe. Wszystko przed nami, choć mam nadzieję, że świat Bullerbyn stanie się mu tak bliski jak kiedyś mi.

Karolina Kapusta



WIELKA RODZINA CHIŃSKICH SYSTEMÓW PROZDROWOTNYCH

Kaxia E. Kowalewska

Ćwiczenia ruchowe wraz z towarzyszącym im kontrolowanym, świadomym oddechem rozwijały się w Chinach od niepamiętnych czasów jako nieodłączny element odwiecznej chińskiej dbałości o zdrowie. Udokumentowane prapoczątki tych ćwiczeń sięgają 5000 lat wstecz, a już wtedy niektóre z nich były kontynuacją zdrowotnych rytuałów szamańskich. Dziś nazywane czikungiem (chiń. **qigong**), stanowią element tradycyjnej medycyny chińskiej, pochodzącej od Żółtego Cesarza Huang Di, który panował ponad 2500 lat p.n.e. Najstarsza nazwa chińskich ćwiczeń, **dao yin**, przyjęła się dla form praktykowanych



w klasztorach taoistycznych. Inna stosowana w dawnych czasach nazwa, **tu na**, oznaczała ćwiczenia oddechowe. We wszystkich rodzajach chińskich ćwiczeń zdrowotnych najważniejszym aspektem było i jest pobieranie, wzmacnianie i właściwe rozprowadzanie w organizmie energii czy (**qi**) – odpowiednika indyjskiej prany. Stąd wzięła się późniejsza i do dziś używana nazwa tych ćwiczeń: **qigong**, czyli doskonalenie, perfekcyjne opanowanie, praca z (**gong**) energią życiową (**qi**).

Korzenie wielkiej rodziny systemów czikungu wywodzą się po części z indyjskiej jogi. Od I wieku n.e. w Chinach szerzył się buddyzm. Na początku VI wieku, na zaproszenie cesarza Wu z południowej dynastii Liang, przybył do Chin legendarny indyjski mnich Bodhidharma, w Chinach zwany Da Mo. Uważa się go za twórcę buddyzmu zen (po chińsku **chan**). Mnich ów zatrzymał się na dłużej w założonym u schyłku V wieku klasztorze buddyjskim Shaolin. Głównym zajęciem mnichów buddyjskich były medytacje. Sam Bodhidharma podobno medytował bez przerwy w jednym miejscu przez 9 lat. To właśnie jemu legenda przypisuje opracowanie - w trakcie pobytu w górskiej grocie - programu ćwiczeń fizycznych dla klasztornych mnichów, którym z braku ruchu dokuczała senność i gnuśność. Pierwotne ćwiczenia rozciągające i oddechowe na bazie indyjskiej jogi w połączeniu z istniejącymi już chińskimi ćwiczeniami oraz metodami samoobrony, rozwinęły się w słynny, najpopularniejszy na Zachodzie zewnętrzny styl walki, znany jako kung-fu z Shaolinu. Najprawdopodobniej Bodhidharma nie był ani pierwszym, ani jedynym indyjskim mnichem, który dotarł do Chin i wykorzystał swoją znajomość jogi do stworzenia lokalnych, chińskich systemów ćwiczeń zdrowotnych tego typu.

Szaoliński system ćwiczeń wewnętrznych to tak zwany czikung **buddyjski**, którego pierwotnym celem była pomoc mnichom w osiągnięciu oświecenia. Do rodziny czikungów należą także: rodzimy czikung **taoistyczny**, rozwijany głównie dla osiągnięcia zdrowia i długowieczności; czikung **konfucjański**, stosowany dla rozwinięcia szlachetnych przymiotów; czikung **ludowy**, kultywowany przez lokalnych mistrzów na prowincji; **medyczny**, związany z medycyną chińską, od wielu lat będący pod lupą naukowców i potwierdzający swe lecznicze działanie; a także twardy czikung **bojowy**, czyli kungfu.

Tajdzi (chiń. **taijiquan**) również można zaliczyć do czikungu, bowiem jest to podobnego rodzaju praca z energią czy. Ten wewnętrzny styl sztuk walki określany jest czasem jako jedna z bojowych postaci czikungu, a ich cel jest dziś ten sam: dobre zdrowie i długowieczność.

Chińskie systemy ćwiczeń to uniwersalne narzędzie, które może wykorzystać dla zdrowia każdy człowiek, niezależnie od swej przynależności kulturowej, religijnej czy etnicznej. Obecne formy czikungu, uprawiane na całej kuli ziemskiej i zdobywające sobie coraz większą popularność, są efektem kilku tysięcy lat praktyki mistrzów chińskich i ich uczniów, a w ciągu ostatniego stulecia również i coraz większej rzeszy adeptów we wszystkich krajach świata.

Czikung jest żywym organizmem, a jego style wciąż mieszają się ze sobą, są udoskonalane i przystosowywane do czasów oraz warunków życia. Rodzina czikungów nieustannie się powiększa. Ten proces odbywa się szczególnie poza Chinami, np. w Ameryce, gdzie



nauczyciele dość swobodnie podchodzą do przywiezionych z Chin form. Nikt nie wie nawet w przybliżeniu, ile jest obecnie praktykowanych różnych systemów i form czikungu na świecie. Liczą się one w tysiącach i wciąż dochodzą nowe, tworzone na podstawie starych. Nie jest to więc skostniały system, lecz dynamiczna, pełna potencjału rozwojowego metoda poprawiania jakości życia.

Tym niemniej, kilka klasycznych form, wywodzących się od najstarszych chińskich ćwiczeń zdrowotnych, przetrwało do dziś w prawie niezmienionej formie. Każdy z nich ma liczne wersje, lecz łączy je wspólna idea i sposób oddziaływania na szeroko pojęte zdrowie. Jak czczony przez kolejne pokolenia protoplasta rodu, pozostają niezmiennie wzorem i bazą wyjściową dla wszystkich mistrzów i nauczycieli. Należą do nich cztery najbardziej znane i cenione oraz szeroko propagowane w Chinach czikungi: **Wu Qin Xi** (Zabawa pięciu zwierząt), **Ba Duan Jin** (Osiem kawałków brokatu), **Yi Jin Jing** (Wzmacnianie mięśni i ścięgien) oraz **Liu Zi Jue** (Sześć dźwięków leczniczych).

To, co odwieczne i wypróbowane, jest w Chinach cenione i szanowane, bowiem Chińczyków cechuje ogromny szacunek dla przodków, ludzi sędziwych wiekiem oraz dla swojej rodziny.

KEK

Sonet oszołomiony

Anna Błachucka

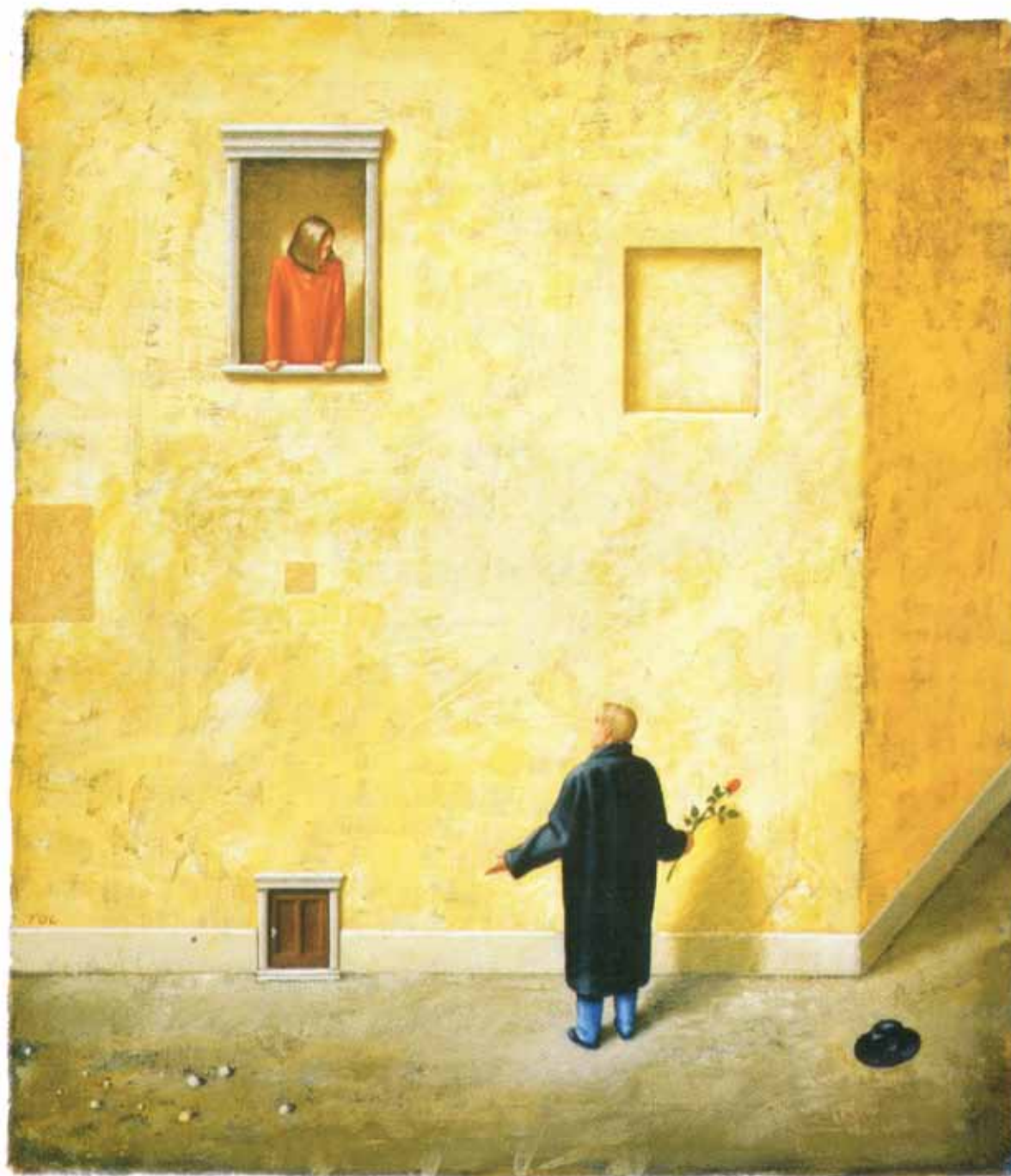
Przybyłem wreszcie gnany siłą zdania,
które wyryłem na drzewie w noc ciemną
jako dokument pierwszego kochania.
Pamiętasz? To ty byłaś wtedy ze mną.

Kto z nas i kiedy utracił kontrolę
nad tym, co między nas murem stanęło?
Czyżbyśmy weszli w cudzą skórę, w rolę,
do której zło nas jakieś wynajęło?

Dziś nieprzydatną róża się wydaje...
Z naszej tragedii zapewne się śmieje
zuchwały komik. Błazeństwa dodaje

gest, każde słowo. Czy to nasze dzieje?
A może ktoś nas sklonował i nami
bawi się – niczym lalkarz kukiełkami.

Ilustracja Tomasz Olbiński





Pelo

Paweł Radźko

Czy to wypłowiwały dywan? Czy to szczur biegnący od ściany do ściany? Nie, to mały szary Pies stojący pomiędzy parą małżeńską Arnolfinich na obrazie van

Eycka. Co on tam robi? Czemu autor go tam umieścić? Zawsze się zastanawiam patrząc na to dzieło.

Pies ewidentnie nie miał przyciągać uwagi widza. Gryfonik brukselski (bo tak nazywana jest dziś jego rasa) jest jedynie częścią tej kompozycji, którą starannie zaprojektował artysta, jednym z wielu elementów obrazu. Ba, jest tak szary, że prawie zlewa się z podłogą, a jego pozycja w cieniu Giovanniego w ogóle przyćmiewa jego obecność. A mimo wszystko jest tam i patrzy na widza tymi małymi, radosnymi i pełnymi ciekawości oczkami, jakby prosił o rzut piłeczką.

Niektórzy twierdzą, że symbolizuje wierność małżeńską. Zgadzałoby się to z umiejscowieniem go pomiędzy małżonkami. Jednak nie może mieć aż tak małej roli. Przypuszczam, że jest zwierzątkiem, które zażyczyła sobie Giovanna z jakiejś okazji, ot prywatną maskotką salonową nazwaną Pelo albo Dante. Być może Jan van Eyck wiedział, że umieści go w tym miejscu od kiedy pierwszy raz go zobaczył. Może w trakcie pozowania pary wbiegł radośnie szciekając pomiędzy modeli, a artyście tak się to spodobało, że postanowił go uwiecznić.

Niewykluczone, że z tym Psem wiąże się wiele historyjek wspominanych przez panią Cenani. Może pewnego razu na spacerze tak się zagalopował do przodu, że pomyślał, że się zgubił i rozpaczliwie szukał swojej właścicielki. Może w szczenięcych latach pogryzł jej ulubioną chustę, którą właśnie miała założyć wybierając się na bal.

Jedno jest pewne – jeśli jest pieskiem tej pani, to przywiązała się do niego, a on do niej. Bez wątpienia był wiernym towarzyszem codziennego życia. Dziś psy i zwierzątka domowe w ogóle mają wyższą pozycję i bardziej się o nie troszczymy. Wielu nawet traktuje je jak członków rodziny. Nie będę oceniał, czy to przesada, ważne, żeby pamiętać, że należy im się nasz szacunek i miłość za taką przykładną wierność i oddanie. Tak, kotom też.

PR



Gabriela Zapolska na potrzeby krakowskiego przedstawienia premierowego sztuki „Moralność Pani Dulskiej - tragifarsa kołtuńska”, przeniosła lwowską kamienicę czynszową wraz z jej niewątpliwym dobytkiem w postaci skołtunionych postaci, właśnie do Krakowa. Tę też, skądinąd „ukrakowioną” wersję, zobaczyć możemy od niedawna w realizacji teatru telewizji. W roli Pani Dulskiej Magdalena Cielecka, w roli reżysera Marcin Wrona.

Polecam ciepło tę sztukę. Z wyczuciem zmieciono z niej kurz. Polecam ją również ze względu na fakt, że „uszkolniona” i „ulekturzona” straciła nieomal cały swój błysk i popchnięta została w niewdzięczne objęcia hasał wytrychów w rodzaju – powieść o moralności małomiasteczkowej i drobnomieszczańskości. Przez całą potęgę opracowań w większości obserwujemy życie Dulskich jak przez dziurkę od maturalnego klucza, tkwiącą gdzieś w drzwiach ich kamienicy, widząc jedynie wąski fragment w określonym kształcie, do którego niekiedy od niechcenia trafia właściwa akcja. I tak, cała historia sztuki o Dulskich, popychana nieświadomie przez szkolnictwo, zatoczyła koło absurdu, bo choć to też książka o ciasnocie umysłowej, zostaje ona „odpamiętywana” i analizowana jedynie z przymusu, ciasno, jak spod wzornika, przez pryzmat i z pozycji najciaśniejszej dla umysłu. Wiem jednak, że jest to krzywda nie wyrządzona z premedytacją. Bo jak inaczej, jak nie z sympatią przeczytać, pod jednym z filmów w Internecie „...26 czerwca w klimatyzowanej auli naszej szkoły uczniowie I Liceum i gimnazjum wystawili sztukę „Moralność Pani Dulskiej”. Mam tylko nadzieję, że wszyscy mieli uroczko domalowane czerwone policzki.

Dość już jednak o tym. Myślę, że wersja Wrony jak żadna inna dotąd uwypukliła w „Moralności Pani Dulskiej” kwestię dziś przewodnią, a więc kwestię rodziny. Rodziny, którą pani Dulska stara się przybrać w cnoty. Jest to jednak, jak mi się wydaje, pomysł w zamyśle już stracony. Jakakolwiek próba nadania godnego wizerunku własnej rodzinie, musi skończyć się, w najlepszym z wypadków – żalem, w najgorszym - rozpadem tejże. Próba malowania obrazu rodziny to zajęcie niezmiernie czasochłonne i zaślepiające. Tak łatwo przecież popaść w tej materii w zatracenie, nie dostrzegając już smutku wynikającego z faktu, że zaczyna traktować się najbliższych jak modeli w określonej, nadanej im przez nas pozie. Pozie, w której muszą trwać bezustannie, by obraz nie tracił wiarygodności.

Moralność wszystkich Pań Dulskich, zawsze więc podszyta jest strachem przed utratą dzieła, w które włożyło się przecież tyle pracy i starań. Nie warto. Nigdy nie warto stawiać tego pierwszego, ryzykownego kroku jakim jest określenie własnej rodziny mianem jednej z cnót. Może lepiej całą energię ukierunkować w radość z samego faktu, że jest? A jaka?

No cóż, zapewniam - nigdy idealna. Ale niech nieważne będzie, jak dalece świat zapędził się w pomyśle na niezależność, potrzebujemy się nawzajem, co tu kryć, bez zbędnej dulszczyzny.

MM

Z rodziną to tylko na zdjęciu

Karolina Kapusta

od kilku dni zastanawiałam się jak napisać o rodzinie.

W końcu taki temat to nie banał, nieważne, jak mocno banalny się wydaje. Dumalam, myślałam, na nic odkrywczego nie wpadłam, będzie więc prosto, zwyczajnie i po mojemu. Od zawsze słyszę (i czasami sama powtarzam, przyznaję się bez bicia), że z rodziną to się dobrze na zdjęciu wychodzi. Chociaż dla osoby niefotogenicznej to małe pocieszenie. Powyższe powiedzenie pewnie ma coś w sobie, jakieś ziarno prawdy. Rodzina potrafi być koszmarnie upierdliwa, a ludzka wytrzymałość ma granice.

Dla rodziców utrapieniem bywają nastoletnie wybryki, humory, dąsy, dojrzewanie, nie daj Boże, ucieczki z domu, sięganie po używki. Dla nastolatków starzy i ich poglądy... phi! „Też mi coś, przecież oni się na niczym nie znają... pokolenie dinozaurów”. Oto mieszanka wybuchowa, w której trudno znaleźć równowagę, zwłaszcza gdy wiecznie się za czymś goni i tak naprawdę tej równowagi się nie szuka, tylko stawia się wymagania... z obu stron. Potem nadchodzi czas wkraczania w dorosłość. Dzieci chcą się czuć dorosłe i samodzielne, rodzice nie chcą do końca swoich (już nie takich małych przecież) pociech spuścić ze smyczy. Utrata kontroli... „Jakże to tak? Puścić dziecko wolno? Co z tego, że prawie dorosłe? Jeszcze mu się jakaś krzywda stanie w tym wielkim świecie...” Zagłaskać dziecko też można... Dodajmy do tego wszechobecne pytania przy okazji spotkań rodzinnych „A kiedy wyjdiesz za mąż? Kiedy będą wnusie? Może jakąś dziewczynę byś nam przedstawił w końcu?” Aż przychodzi czas, że nie chce się jechać do domu na święta, wigilia na Cyprze czy w Egipcie przestaje być tak straszliwie samotna. I kiedy życie zaczyna się stabilizować, mąż, żona, dzieci, praca i wydawałoby się względny spokój jest bliski, nagle ingerencja rodziców / teściów w sposób wychowania potomka burzy tę nadzieję. A potem..., cóż, potem cykl rusza od nowa.

Ale bądźmy szczerzy. Nie zawsze tak jest. Pewnie, że nie. Są idealne rodziny, gdzie miłość i szacunek są podstawą wspólnej egzystencji, gdzie dzieci są szanowane bez względu na wiek, gdzie nawet klaps nie wchodzi w grę. Gdzie nie ma przemocy słownej, psychicznej, o fizycznej nie wspominając. Gdzie daje się prawo wyboru i uczy się po prostu odróżniać dobro od zła, bez przymuszania do wiary w jakiegokolwiek boga. Hmm. Tak, tak chyba – według mnie

– wygląda rodzina idealna. Nie wiem czy takie są. Mam nadzieję, że tak (i że taka będzie moja).

Wiem za to, że zbyt dużo jest tych nieidealnych. Gdzie słowa ranią, złość nie do opanowania, znajduje ujście w zadawaniu bólu, gdzie dzieci na widok rodziców uciekają pod łóżko, gdzie rodzice nie zdają sobie sprawy co się dzieje z ich potomkami. Gdzie zamiast miłości jest złość, agresja, krzywda, cierpienie... Gdzie dotyk jest czymś bolesnym zamiast kojącym. Gdzie dłoń jest kojarzona tylko z uderzeniem zamiast z czułością. Gdzie zamiast zaufania jest strach. Gdzie ulgę przynosi dziecku sen rodzica lub jego wyjście z domu. Co z tego, że jest ładne rodzinne zdjęcie? Kłamiwy obraz sielskiej rodziny... nie, to nie pomaga wymazać z pamięci bolesnych chwil. Niestety, takich rodzin jest wiele. Szarych, smutnych, zaniedbanych. Gdzie nie ma miłości. Gdzie ludzie nie umieją kochać, bo... bo ich samych nikt tego nie nauczył. Bo nie wiedzą jak kochać, bo nie wiedzą, że można i jak wielka jest siła tego uczucia.

Powiedzmy więc sobie szczerze, cóż, komentarze nadgorliwych rodziców, ciotek, wujków, pragnących poznać naszą drugą połówkę pomarańczy, cóż, dąsy i kaprysy. Niech sobie będą. Niech nawet będą próby kontroli, bo przecież zawsze można usiąść i porozmawiać, usiłując wepchnąć dwie odległe galaktyki na podobny kurs, czyli po prostu próbując znaleźć wspólny język. Niech i tak będzie. Niech będzie zdjęcie, na którym jesteśmy wszyscy uśmiechnięci, choć prawdę mówiąc wolelibyśmy uciec jak najdalej od samozwańczego artysty fotografa. Ale za zdjęciem niech będzie też wspomnienie dobrych chwil, ciepłego przytulenia, słów „kocham cię” w ucho dorastającemu synowi, który usiłuje się wyrwać z objęć matki, bo przecież jest już za duży na takie przytulanki. Niech będzie w pamięci bajka czytana na dobranoc, nie 3 i nie 5 minut, ale tak długo jak potrzeba, tak długo aż słowa ukołyszają dziecko do snu. Niech będzie wspomnienie ciepła i miłości, które emanuje na życie nasze i naszych bliskich.

Każdy zasługuje by mieć rodzinę, dobrą, ciepłą, gdzie dostanie miłość, czułość i poczucie bezpieczeństwa. Zdjęcie to jedno. Wspomnienia to drugie. A rodzina... rodzina to taka baza, niech będzie silna, mocna i bezpieczna. Dla wszystkich.

KK

Whispering gallery mode

Justyna Piwowar



Rysunek 1: Kopuła bazyliki św. Pawła w Londynie z galerią szeptów.



Rysunek 2: Szkic propagacji dźwięku w galerii

W centrum Londynu znajduje się wyjątkowa galeria. **Galeria szeptów - Whispering Gallery** (rys.1).

Galeria o tak świetnej akustyce, że szept z jednej strony słyhać 30 m dalej, znajduje się pod kopułą Katedry świętego Pawła (nie należy jej mylić z kopułą w bazylice św. Piotra w Rzymie). To niezwykle zjawisko badał przed wiekiem sam wielki fizyk, noblista Lord Rayleigh.

Jak szept przekazać na tak dużą odległość? Jest na to pewien sposób. By go lepiej zrozumieć możemy wyobrazić sobie galerię kopuły jako wielokąt (rys.2).

Dźwięk – szept, wyemitowany wprost na drugą stronę galerii rozproszy się i nie dotrze do drugiej strony balkonu. Gdy szept zostanie skierowany wzdłuż po okręgu zacznie odbijać się od ścian kopuły (boków wielokąta), tracąc przy tym niewiele na intensywności. Taki efekt skupiania dźwięku można zaobserwować nie tylko w odległym Londynie. Usłyszeć szept drugiej osoby z zadziwiająco dużej odległości można również uzyskując do tego celu dwa „zwierciadła” odbijające dźwięk. Zwierciadła przypominające duże talerze satelitarne można znaleźć m.in. w parku obok Centrum Nauki Kopernik w Warszawie. By usłyszeć szept dwie osoby muszą stanąć przy ekranach dźwiękowych i mówić w swoim kierunku. Półsferyczne zwierciadło - ekran odbija od siebie rozproszoną falę dźwiękową i skupia w ognisku (w środku sfery którego zwierciadło jest



Rysunek 3: Zwierciadło akustyczne o średnicy 4,5 m. Na końcu stojącego przed zwierciadłem filaru z (w ognisku sfery) znajdował się mikrofon.

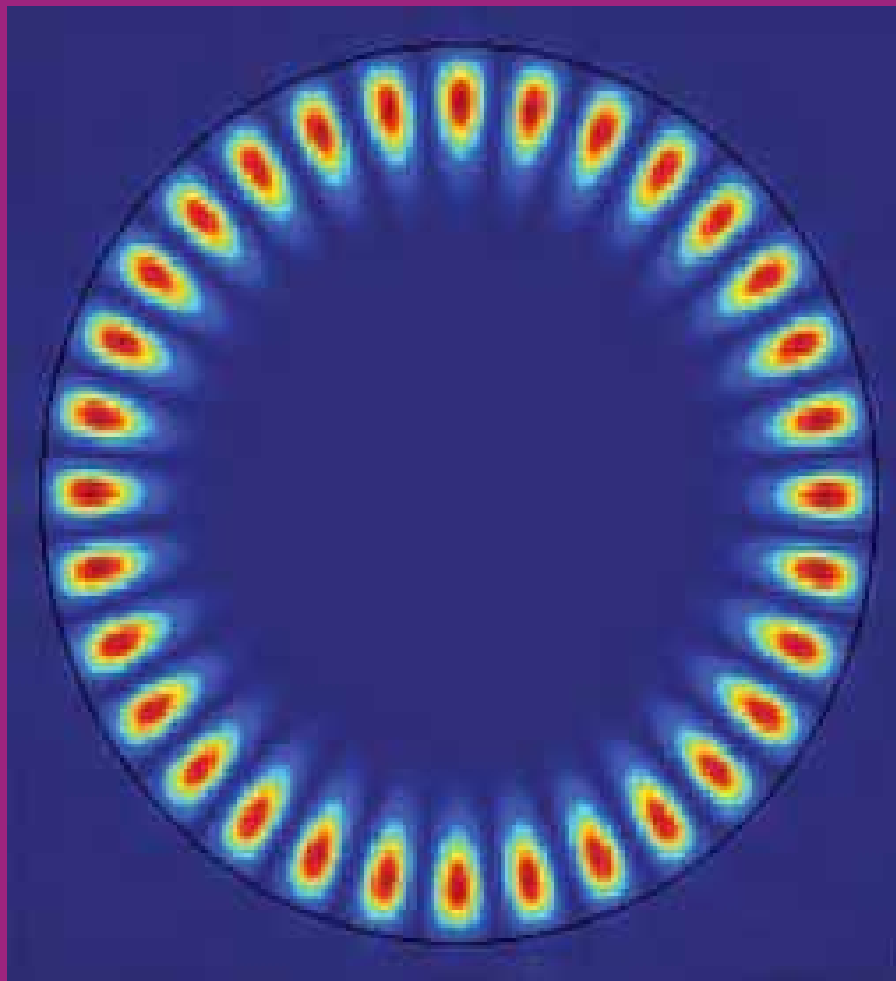
częścią). Tam najlepiej słyszeć szept drugiej osoby. Najbardziej imponującymi konstrukcjami służącymi do zbierania dźwięku były ogromne betonowe radary akustyczne.

Projekt z rozmachem realizowany przed wojną, przez brytyjską armię, miał służyć do wykrywania zebranego przez radary dźwięku nadlatujących samolotów wroga. Jednakże pomysł nie zdążył zostać wykorzystany w walce, gdyż radary akustyczne zostały wyparte przez radary pracujące na falach radiowych. (http://en.wikipedia.org/wiki/Acoustic_mirror)

Fale dźwiękowe pod pewnymi aspektami są całkiem podobne do optycznych. Odpowiednikiem szeptów pod kopułą w katedrze św. Pawła jest tak zwany

Whispering Gallery Mode. Subtelny efekt, w którym fala światła porusza się w strukturze o dyskowym kształcie. Światło w takim układzie zamkniętym tworzy falę stojącą. Dobrze to obrazuje najprostszy przykład, w którym dwie osoby machają skakanką. Za każdym razem skakanka trzymana w dłoniach znajduje się w określonym położeniu, węźle, a pomiędzy machającymi tworzą się góry i dołki. W zależności od intencji i wprawy machających można uzyskać nawet kilka „górek”. Górka z dołkiem nazywa się strzałką fali, a miejsce zdające się nie poruszać węzłem (węzły znajdują się zarówno „w rękach” machających jak i pomiędzy strzałkami). W strzałce jest duże pole elektromagnetyczne, w węźle małe. Dobrze to widać na przykładzie rysunku nr 4, w którym kolor czerwony symbolizuje pojawienie się pola elektromagnetycznego.

Dlaczego fala nie wypada ze swojego wielokąta? Dzieje się tak dzięki zjawisku całkowitego wewnętrznego odbicia. By móc zrozumieć



Rysunek 4: Whispering Gallery Mode powstały w półprzewodnikowym mikrodysku. Kolor czerwony oznacza strzałki fali stojącej światła, a przerwy koloru niebieskiego węzły.

Nature Photonics 1, 61 - 64
(2007) Published online: 21
December 2006 doi:10.1038/
nphoton.2006.52

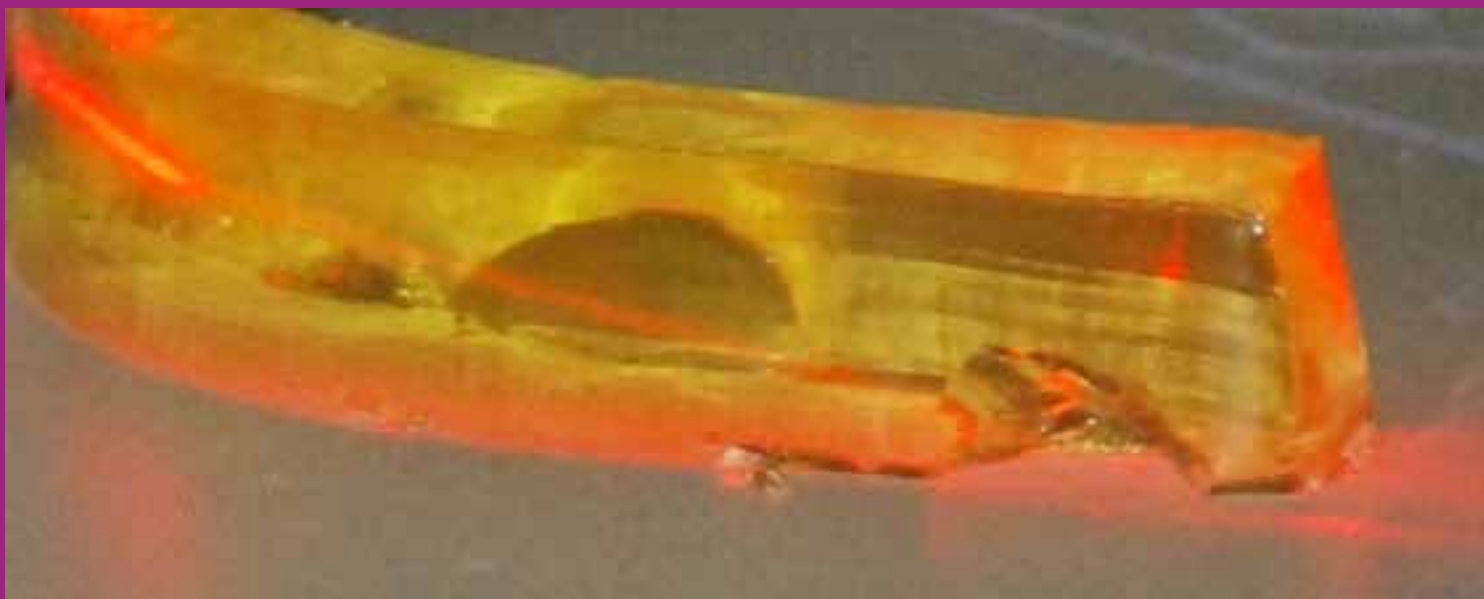
to zjawisko, należy przywołać pojęcie współczynnika załamania światła. Ten współczynnik decyduje o tym w jaki sposób światło przechodzi przez materiał, m.in. czy łatwiej jest mu się odbić, czy przejść na wylot i jak bardzo promień światła zostanie zakrzywiony po wejściu do materiału. Opisuje on również jak bardzo zmienia się prędkość światła w danym materiale w stosunku do prędkości np. w powietrzu. Jeśli światło wpuścimy pod odpowiednim kątem w ośrodek o większym współczynniku, który jest otoczony materiałem o niższym współczynniku zachowa się on jak światłowód. Będzie odbijać światło, kierując je z powrotem do swojego wnętrza. Można to sprawdzić, w domu, świecąc słabym laserem w światłowód zrobiony z galaretki.

Whispering gallery mode jest nie tylko pięknym zjawiskiem obserwowanym m.in. w mikrodyskach, nanopierścieniach i kryształach fotonicznych (rys 6).

Whispering gallery mode to piękne zjawisko, które jest chętnie obserwowane przez fizyków. Ten subtelny i piękny w swojej prostocie efekt można zaobserwować w świecie makroskopowym. Został on również przeniesiony do świata w mikroskali i tam pozwala rozwijać wiele dziedzin, ma zastosowanie m.in. w telekomunikacji, przy przenoszeniu sygnałów między światłowodami.

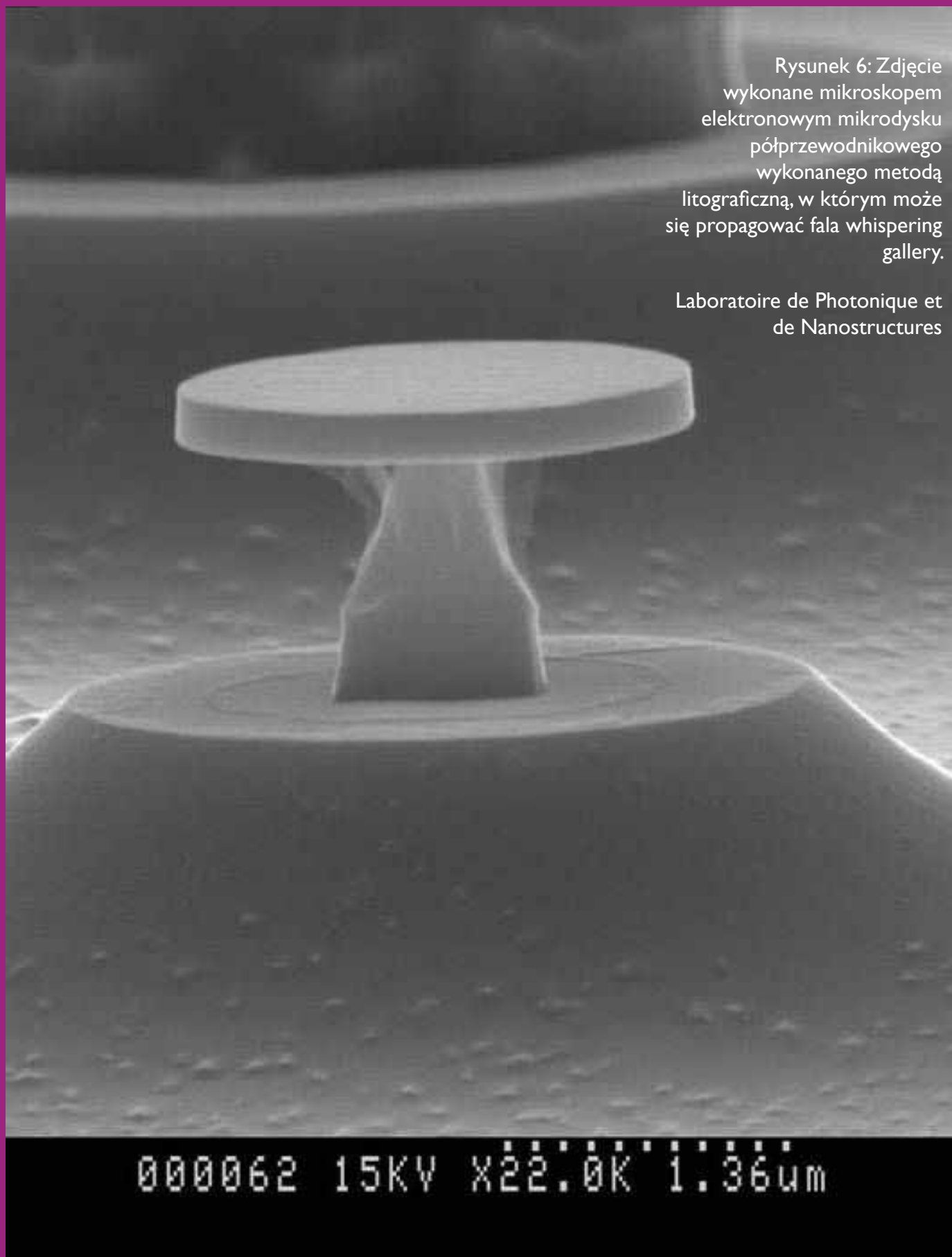
JP

Rysunek 5: Światłowód zrobiony z galaretki. Wpuszczone do środka światło lasera odbija się od jego boków na zasadzie całkowitego wewnętrznego odbicia.



Rysunek 6: Zdjęcie wykonane mikroskopem elektronowym mikrodyску półprzewodnikowego wykonanego metodą litograficzną, w którym może się propagować fala whispering gallery.

Laboratoire de Photonique et de Nanostructures



BABEL babel
babel BABEL BA
BEL babel babel
BABEL BABEL ba
bel babel BABEL
BABEL babel babel
BABEL BABEL BAB
EL babel BABEL ba
bel BABEL babel BA
BEL babel BABEL ba
bel BABEL babel BAB
EL babel BABEL babel

Chopin ist ewig

Frederics Spiel-Gsäfte

Von Piotr Mysłakowski



Chopin ist In Gedanken der heutigen Menschen in drei verschiedenen Rollen anwesend. Als Komponist, Klaviervirtuose und auch als Lehrer. Die zwei ersten Aspekte seiner Biografie sind allgemein bekannt. Es entsteht aber die einfache Frage, wie Chopin seine alltäglichen finanziellen Bedürfnisse gedeckt hat, besonders wenn man weiß, dass er Reichtum und Überfluss mochte, was an Einrichtung seiner Wohnräumlichkeiten, seiner Kleidung und verfeinertem kulinarischem Geschmack deutlich zu erkennen ist. Sein Leben war alles andere als bilig, und wenn noch dazu sich immer verschlechternder Gesundheitszustand kommt, musste er wirklich hart arbeiten, um alle Kosten decken zu können. Selbstverständlich hat er seine Werke an Herausgeber verkauft, die immer mehr für Autorenrechte zahlen mussten, als der Komponist populärer wurde. Doch das war kein festes Einkommen. Die Lebensunterhaltsquelle war für Choppin vor allem Klavierunterricht.

Aus der heutigen Sicht kann man hier witzig von einer (ein Person)Ich-Firma sprechen, obwohl seine Steuererklärungen leider nicht gefunden worden sind. Versicherung gab es natürlich keine und jeder musste selbst die Behandlungskosten tragen.

Musiklehrer ist immer ein populärer und oft auch rentabler Beruf gewesen. Ein Instrument spielen zu können war (Standardfaehigkeit) eine Norm bei den jungen Männern und Frauen, die eine so genannte „gute Erziehung“ erhalten haben. Das beste Beispiel dafür war der von Chopins Eltern geführte Gymnasiastenpensionat, wo neben den allgemeinen Schulfächern auch Musik beigebracht wurde. Klavierstunden(unterricht) bei Wojciech Żywny waren für den kleinen Fritz die erste Begegnung mit komplexer Welt der Klänge. Obwohl der Bedarf nach Musikunterricht ziemlich groß war, gab es in dieser Branche eine hochspezialisierte Konkurrenz. Somit, willkommen in der harten Realität der Ökonomie und des großen Marktes, die



wir von Heute so gut kennen. Genauso wie heute gab es damals den Markt, den die Kunden schafften, die Nachfrage an Musikunterricht und das Angebot an verschiedenen Musiklehrern mit besseren oder schlechteren Qualifikationen. Je reicher der potenzielle Kunde war, umso besseren, also teureren Lehrer konnte er sich leisten. Selbst die Grundregeln der Musikkunst zu beherrschen, was in prominenten und bürgerlichen Häusern fast als pflichtig galt, reichte natürlich nicht aus, falls ein junger Künstlernachwuchs von einer großen Karriere geträumt hat. So einer musste nach London, Wien, Berlin, oder Paris verreisen, um seine Gabe weiter zu entwickeln und seinen Spiel auf höheres Niveau zu bringen. Ähnlich, wie heute, galt auch damals Paris als ein „Paradies“ für alle jungen Künstler. Dort konnte man sich zeigen, einen Applaus gewinnen und womöglich eine Rezension erhalten, die genug dafür war, das man sich ruhig als ein berühmter Virtuose in dieser herrlichen Stadt niederlassen kann..

Im Paris hatte man auch die größte Chance, bei dem besseren Lehrer gut aufgehoben zu werden. So war meistens bei den vielen Parisschen Musiker der Fall. Bei Chopin ist das allerdings ganz anders gelaufen. Er war schon über zwanzig, als er nach Paris angekommen ist und wurde auf Anhieb berühmt. Deswegen konnte er seine Unterrichtsstunden, die inzwischen immer mehr gefragt waren, von Anfang an hochpreisen.

Seine Schüler und Schülerinnen kann man in zwei Gruppen teilen. Die erste waren die jugendlichen künftigen Künstlern. Die zweite bestand dagegen aus reichen Damen, die



sich nach der Mode richteten und in der Gesellschaft brillieren konnten, indem sie erzählt haben, dass sie beim Chopin Klavier lernen.

In der ersten Kategorie sind solche Namen zu finden, wie: (Karol Mikuli, Adolf Gutmann, Ignacy Krzyżanowski, George Mathias, Camille Dubois...). E. Die zweite Gruppe zählte nach Angaben etwa 150 Menschen, aber nur wenige von ihnen waren wirklich begabt. Erwähnenswert wären hier: Fürstin Marcelina Czartoryska, oder Frederike Streicher-Müller. Alle anderen waren jungen Mädchen, meistens Töchter, oder Ehefrauen von vollhabenden Männern, deren Väter, oder je nach dem ihre Schrulle, selbst beim Chopin spielen zu lernen, grosszügig finanziert haben. Der Komponist wusste das genau und bot in solchen Fällen seine Dienste zum höchsten Preis an. Bald sind seine Musikstunden zu den teuersten im Paris geworden. Eine hat 20 Franken im Gold gekostet, was einem Luidor entsprach. Ähnliche Summen wünschte sich nur Kalkbrenner, der Jahre lang für den besten und teuersten Klavierlehrer gehalten war.

Chopin hat seine Kunden sehr vorsichtig gewählt. Manchmal war er sogar launig dabei. Was die erste Gruppe angeht, hat er oft viele Monate auf die erste Anhörung warten lassen, oder einfach abgesagt, als er zu spüren meinte, diesem, oder jener nicht viel als Lehrer beibringen zu können. Wenn es aber um gesellschaftliche, oder finanzielle Gründe ging war die Sache schon ganz anders, wovon die Anzahl der reichen Schüler zeugt. Unter denen befanden sich Töchter von Ministern und Würdenträgern, wie z.B. die Tochter vom russischen Kriegsminister, Prinzessin



Czernyszewa, die Gräfin Szeremietiewa, die eine Tochter von Frau Obrieskow und eine Ehefrau von dem griechischen Fürst Souso war. Der Musiker hat auch die polnischen Aristokratinnen unterrichtet: (Delfina z Komarów Gräfin Potocka), Maria Kalergis, uns sogar die gebürtige Warschauerin Aleksandra Faucher geborene Wołowska eine Frau des französischen Finanzminister und Bundesminister Leon Faucher.

Nicht zu vergessen sind aber auch diese, deren finanzielle Lage erheblich schlechter war, wie Emilia Borzencka, oder Zofia Rosengard. Bestimmt haben sie weniger gezahlt und mussten offenbar sich mit großem Fleiß, oder ihrem weiblichen Zauber die Anerkennung des Meisters erwerben. Die eine Person, „Ich-Firma“ von Chopin war rentabel, solange, wie lange es eine Nachfrage gab. Ihre dramatische Krise hat in Juli 1848 mit der französischen Revolution angefangen, die zu Massenauswanderung vom privilegierten und reichen Bürgertum geführt hat. Auch die Typhusepidemie hat dazu beigetragen. Auf einmal ist der Künstler in Armut geraten und sein immer schlimmerer Gesundheitszustand verschlechterte noch die Lage. Seine Ärzte und Freunden haben ihn gezwungen, sich eine neue, sonnigere Wohnung zu suchen. Es wurde eine in der rue Chaillot für ihn vermietet. Doch sie war doppelt so teuer für ihn gewesen. Die Hälfte von den Kosten hat heimlich seine Bekannte Frau Obrieskow gedeckt.

Diese Ereignisse zeigen deutlich, wie unsicher seine „Firma war“. Nicht nur von Kunden abhängig, sondern auch von reinen Schicksalschläge. Es wird auch geschildert, wie viel man riskiert hat, wenn man kein



festes Einkommen, und keine Versicherung im Fall von langfristiger Arbeitsunfähigkeit hatte.

Zum Schluss möchte ich hinzufügen, dass der Künstler seine Dienstleistungen hauptsächlich zu Hause geboten hat. Er hat einen großen Wert auf Pünktlichkeit gelegt. Die Zeit war genau mit seiner Lieblingstaschenuhr gemessen und die Schüler wurden zu den festgelegten Zeiten von einem Diener eingelassen.

Es gab aber Ausnahmen von dieser Regel. So zum Beispiel im Tagebuch von E. Szeremietiewa gibt es einen Beweis dafür, dass Chopin manche Schülerinnen doch ab und zu besucht hat. Nach seiner Lektüre sieht man, wie viel Spaß dieses Unterricht dem Lehrer gemacht hat. Doch mit diesem Thema werden wir uns ein anderes mal beschäftigen.

Tłumaczenie na język niemiecki
Katarzyna Szczypka

Polska wersja językowa
Gazetownia nr 3(23)2013
Petent

From the series:

My Travels

Switzerland: Rapperswil

- The City of Roses

part II

Agnieszka Thomassen



While almost running, I noticed a large, gently faded from the sun, canvas hanging on the wall. I stopped for a moment to examine this interesting scene. The scenery portrayed a woman in a blue dress and a deer that gently put her head on the lady's lap. The duchess was petting the head of the beautiful deer. A legend says that the prince Altendorf was deer hunting together with his wife. The princess felt sorry for the gorgeous animals and asked her husband to stop the hunt. Reportedly, out of gratitude, a doe came to the princess, laying down her head on the lady's knees. The prince was touched with what he witnessed. Seeing in this a sign from God, he decided to build a castle in that place. Until today, the deer park is an attraction in the town of Rapperswil as a reminder of this amazing story. I slowed down, feeling better, safer, although still a bit lonely in the castle in which I had not met a living soul.

I saw another wooden, sculpted door, through which I quickly entered. In the big office I noticed documents, books, letters, maps, and jewelry that were created in the later period. A thin veil, like a

Z serii:

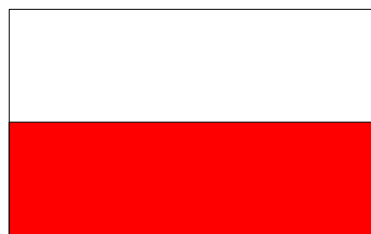
Moje Podróże

Szwajcaria:

Rapperswil - Miasto Róż

cz. II

Agnieszka Thomassen



Prawie w biegu zauważyłam na ścianie wielkie, lekko wyblakłe od słońca, płótno. Zatrzymałam się na chwilę, żeby przyrzeć się tej ciekawej scenie. Krajobraz przedstawiał kobietę w niebieskiej sukni oraz sarnę, która delikatnie położyła swoją głowę na jej kolanach. Dama z czułością głaskała głowę pięknej sarny. Legenda mówi, że książę Altendorf polował na sarny razem ze swoją żoną. Księżnej zrobiło się żal tych dostojnych zwierząt, więc poprosiła swojego męża o wstrzymanie polowania. Podobno z wdzięczności łania podeszła do księżnej, opierając swoją głowę na jej kolanach. Książę był poruszony tym co zobaczył. Zauważając w tym zdarzeniu znak od Boga, postanowił wybudować w tym miejscu zamek. Do dzisiaj park z sarnami jest ozdobą miasta jako przypomnienie tej pięknej historii. Zwolniłam kroku, czując się lepiej, bezpieczniej, choć wciąż trochę samotnie w zamczysku, w którym nie spotkałam jeszcze żywej duszy.

Zobaczyłam kolejne, drewniane, lekko rzeźbione drzwi, przez które szybko przeszłam. W dużym gabinecie zauważyłam dokumenty, książki, listy, mapy, biżuterię i inne przedmioty, które były stworzone w





cloud, separated the medieval past from the future. I felt as if I traveled in the imaginary time machine, visiting a few centuries. The Middle Ages, Baroque, and the Age of Enlightenment flashed by in front of my eyes faster than the speed of light. I broke through the space-time tunnel when, in a split of a second, I found myself in the XIX century...

Following the footsteps of history in the long corridors, I was aware of the changes that occurred in the world -- and I do not mean only the metamorphosis of the swimming suit. In order to reconstruct the events, I "sat" comfortably in the fictitious time machine. Moving the golden levers in a transparent capsule, I was changing the gears, traveling through different epochs. Pushing the big, golden buttons, I was altering the dates. Passing through hundreds of years, in my imagination, I saw the artists creating works that, until today, are considered the cultural treasure and having value that is impossible to convert into any amount of money. In Italy, bearded Leonardo da Vinci was constructing a flying machine. In Rome, Michelangelo was painting the story of humanity in the Sistine Chapel. In the Netherlands, Rembrandt was creating his first sketch of guardsmen portraying their exit through the big gate. In the scientific circle people had done discoveries that have constituted the bases for further development. On the lying under an apple tree, Isaac Newton, an apple had just fallen down -- an occurrence that enlightened him about the theory of gravity. On the other hand, while using a telescope, Galileo, saw the rings of Saturn, calling it "the planet with handles."

Throughout the centuries the world has been fluently adapting to new, both positive and negative, effects of human activities just like the stream that is gouging tunnels in the rocky mountains. For centuries, the space we live in has



okresie o wiele późniejszym. Cienka woalka, niczym chmura, oddzieliła średniowieczną przeszłość od przyszłości. Czułam się jakbym przebyła podróż w wyimaginowanym wehikule czasu, zwiedzając kilka stuleci. Średniowiecze, renesans, barok, oświecenie przemknęło mi przed oczami, przekraczając prędkość światła. Pokonałam kawał drogi w tunelu czasoprzestrzennym kiedy w ułamku sekundy znalazłam się w XIX wieku...

Podążając śladami historii w długich korytarzach, byłam świadoma zmian, które dokonały się na świecie i nie mam na myśli tylko i wyłącznie metamorfozy stroju kąpielowego. W celu rekonstrukcji wydarzeń „usiadłam” wygodnie w wyimaginowanym wehikule czasu. Poruszając złotymi lewarkami w przezroczystej kapsule zmieniałam biegi, podróżując przez różne epoki. Przyciskając wielkie, złote guziki zmieniałam daty. Przemierzając setki lat oczami wyobraźni widziałam artystów tworzących dzieła, które do dzisiaj należą do największych skarbów kulturowych i stanowią wartość, której nie da się przeliczyć na pieniądze. We Włoszech brodaty Leonardo da Vinci wykonywał jakąś konstrukcję latającej maszyny. W Rzymie Michał Anioł malował dzieje historii ludzkiej w Kaplicy Sykstyńskiej. W Holandii Rembrandt tworzył pierwsze szkice gwardzistów w „Straży nocnej” ukazując ich wymarsz z wielkiej bramy. W kręgu naukowym wybitni ludzie dokonywali odkryć, które stanowiły bazę dla kolejnych wynalazków. Na leżącego pod jabłonią naukowca Isaaca Newtona właśnie spadło jabłko, dzięki któremu doznał olśnienia na temat grawitacji. Natomiast Galileo, korzystając z teleskopu, dostrzegł pierścienie Saturna, nazywając go „planetą z uchwytyami”.

Przez stulecia świat płynnie dostosowywał się do nowych pozytywnych i negatywnych skutków działalności człowieka, które jak strumień rzeki



been flexibly changing as the monumental sculpture. At the beginning of its existence it was formed by running streams of flowing liquid. In the later period, men added some more material by conscious and unconscious fulfillment of their needs. This form – created with: wood, clay, bronze, as well as blood and bones sacrificed during the wars, plagues, and natural disasters – until now it hasn't gained its final shape. It is hard to arrange a place in which people create magnificent things while, in the same time, they destroy their own creation. The world has been constructed from contradictions, the two opposing forces: good and evil, beauty and ugliness, truth and falsehood, wisdom and stupidity. I am surprised that we are unable to take one, advantageous direction. People suffer from some kind of “bipolar disorder,” in which inflated sense of happiness and deep sorrow intertwine fighting for dominance. Conflicting opposites create changes that are difficult to predict. The world is like a constantly changing, giant river that interchangeably brings big and small waves, carrying happiness or hardship.

Proceeding in the time machine I browsed through the pictures like in praxinoscope in which the events were rolling by, giving life for various characters. The world looked like a movie that registered millions of occurrences from the lives of human beings, from the beginning of times. I looked down. In the XIV century Europe that looked like a giant grave, the Black Death epidemic was raging. Terrifying demon sowed destruction, collecting dense harvest. The rats, running around, were spreading the disease and killing people. Desolate, gray city streets were piled with covered human bodies that became carcasses for hungry dogs. Since then, epidemic outbreaks stamped painful marks on many occasions, shifting the world. Running away from their agony, I found myself above the fields where Joanna d'Arc was leading the army.



drażyły tunele w skalistych górach. Przez całe wieki przestrzeń, w której żyjemy elastycznie zmieniała się jak monumentalna rzeźba. Na początku swojego istnienia ziemia lepiona była przez powłóczyste potoki płynnej cieczy. W późniejszym okresie człowiek dorzucił materiału budulcowego poprzez świadome i nieświadome zaspakajanie swoich potrzeb. Forma ta – tworzona z różnych surowców: drewna, gliny, brązu, ale również krwi i kości poświęconych podczas wojen, zaraz i klęsk żywiołowych – do dzisiaj nie nabrała ostatecznego kształtu. Trudno jest aranżować miejsce, w którym ludzie kreują piękne rzeczy jednocześnie niszcząc to co tworzą. Świat jest konstruowany ze sprzeczności, dwóch zwalczających się sił: dobra i zła, piękna i brzydoty, prawdy i fałszu, mądrości i głupoty. Dziwi mnie to, że nie potrafimy obrać jednego kierunku. Ludzie cierpią na jakąś „dwubiegunowość”, w której zawyżone poczucie szczęścia i głęboki smutek przeplatają się walcząc o dominację. Ścierające się przeciwieństwa, stykając się, dokonują trudne do przewidzenia metamorfozy. Świat jest jak wielka, ciągle zmieniająca się rzeka, która naprzemiennie niesie ze sobą małe i wielkie fale szczęścia i tragedii.

Podążając w maszynie czasu, przeglądałam obrazy jak w praxinoskopie, w którym wydarzenia przewijały się nadając życia poszczególnym postaciom. Świat wyglądał jak film, który rejestrował miliony zdarzeń z życia człowieka, od zarania dziejów. Zerknęłam w dół. W XIV-wiecznej Europie, która wyglądała jak wielki grobowiec, szalała epidemia Czarnej Śmierci. Odrażający demon rozsiewał zniszczenie, zbierając gęste żniwa. Biegające szczury roznosiły choroby, zabijając ludzi. Opustoszałe, szare ulice miast wypełnione po brzegi pozakrywanymi ciałami ludzkimi stały się padliną dla wygłodniałych psów. Od tamtej pory epidemie wielokrotnie odciskały swoje bolesne piętno, dokonując intensywnych przemian na świecie. Uciekając od ich



Loud, wild screams of speeding, frenzy horse riders hit the crowds on the other side of the field. The horses galloped in the racket and dust mixed with blood, creating cursed streams. I heard the sound of swords administering "justice" for the enemy. It is hard to believe that the same weapon was blessed by the bishop, and later used to knight the cavaliers during the ceremony in which the participants exchanged the sign of peace. Sometimes I have the feeling that people do not understand God... A frightening song of desperation mixed with fear of inevitable death of the warriors was heard in the air. I didn't want to be the witness of bloodshed and death of innocent people -- young boys whose life was nullified, manhandled with some wicked war. Terrified Earth didn't absorb the contamination from the Augean stables for a long time.

I carried on to the place in which a group of people was burning three women. Young and naturally beautiful females were often exposed to persecutions from the fearful and hidebound commons. Searching for the signs of lust, it was allowed to murder another human being -- in the name of God. I disappeared from that place showing up over an open space with the view on blue waters. I could feel my pounding heart under my shirt, reminding me of remorseless murders. The Sun was melting away just above the horizon. In far I heard the drum striking a regular rhythm. I was hoping it was summoning the god of the body and soul-Moa who blessed people with health. I wanted to join the celebration since it would be the best distraction from earlier massacre. I was getting closer to the three-mast ship in which the sails were filled with air like the cheeks of a trumpet player. I determined with regret that the drum was not manifesting the joy of life. The rhythm and the strength of the sounds coming out of the drum resembled the heartbeat of a mother that



agonii znalazłam się nad polami, na których uzbrojona Joanna d'Arc dowodziła armią. Głośne, dzikie krzyki pędzących na koniach rozszalałych jeźdźców uderzyły z hukiem w nacierające tłumy po drugiej stronie pola walki. Konie galopowały we wrzawie i pyłe zmieszanych z krwią, tworząc przekłète strumienie. Słyszałam odgłos mieczy wymierzający „sprawiedliwość” swoim przeciwnikom. Trudno uwierzyć, że ta sama broń, wcześniej pobłogosławiona przez biskupa, pasowała giermków na rycerzy podczas ceremonii, w której uczestnicy wymieniali znak pokoju. Czasami odnoszę wrażenie, że ludzie w ogóle nie rozumieją Boga... W hałasie uniosła się przerażająca pieśń rozpaczliwej połączonej ze strachem nieuniknionej śmierci wojowników. Nie chciałam być świadkiem rozlewu krwi – krwi niewinnych ludzi, młodych chłopców, których życie zostało przekreślone, sponiewierane jakąś niegodziwą wojną. Przerażona ziemia przez długi czas nie chciała wchłonąć zanieczyszczeń ze stajni Augiasza...

Przeniosłam się do miejsca, w którym grupa ludzi paliła żywcem trzy kobiety. Niewiasty młode i naturalnie piękne były często narażone na prześladowania ze strony przepełnionego strachem, zacofanego ludu. Doszukując się oznak rozwiąźłości, w imię Boga, dopuszczano się mordowania drugiego człowieka. Znikłam z tego miejsca jak najszybciej, pojawiając się gdzieś nad otwartą przestrzenią z pięknym widokiem na niebieską wodę. Pod koszulką wciąż waliło mi serce przypominając o bezlitosnych mordach. Nad kolorowym horyzontem topniało powoli słońce. W oddali usłyszałam bęben wybijający regularny rytm. Miałam nadzieję, że przywoływał on opiekuna duszy i ciała-Moa, który zapewniał ludziom zdrowie. Z chęcią przyłączyłabym się do uroczystości, która stanowiłaby odmianę dla wcześniejszej masakry. Zbliżałam się z ciekawością do trzymasztowego statku, w którym żagle napełniały się powietrzem, przypominając policzki trębacza. Szybko zorientowałam się, że bęben





dynamically pulsed in her veins. On the board of the ship I saw wooden boards nailed together in the shape of two-tier shelves filled with people lying down like death fish, one next to the other. The cries of a delirious man and the sound of clacking shackles were heard in the belly of the ship. I thought of the mothers who forever lost their sons, kidnapped from their own homes. I looked into the filled with emptiness, absent, dark eyes of a young boy that expressed nothing else but longing, anger, and the vengeful desire to hurt his torturers back. His sorrow was masked with helplessness and surrender to the situation in which he was. Strong, bruised arms held the paddles with difficulty. A big, tough guy was now filled with powerlessness like a tormented dog. He broodily submitted his body to the sad rhythms coming from the drum.

Following the fate of human race, I quietly hoped that I would show up at some idyllic, beautiful, and peaceful place on Earth where there was no violence. A countryside that would resemble a "tranquil village, joyful village," appreciated in the poems written by Jan Kochanowski would be ideal to cool off. Unfortunately, many places that I visited reminded me of centuries of social degeneration. In its history, our global village experienced many military conflicts. Countless fights for land widened the borders, plundering the territory from other nations. As an opponent of any type of military confrontations, that in my opinion have never solved any problem, I have been always intrigued with the wars that people would continue for a very long time. The 116 year war between England and France in the XIV and XV century; or the 80 year war in the XVI century, between the Netherlands that fought for the freedom from the Spanish king, are the phenomenon created by men I have never been able to understand. My home country also



nie manifestował radości z życia. Rytm i natężenie wydobywających się dźwięków przypominało mi bicie serca matki, które dynamicznie pulsowało w jej żyłach. Na pokładzie statku dostrzegłam deski zbite w kształcie dwustopniowych półek, które wypełnione były ludźmi leżącymi jeden koło drugiego jak zdechłe ryby. W „brzuchu” statku słychać było majaczenie jakiegoś człowieka i dźwięk stukających kajdan. Pomyślałam o matkach, które już na zawsze utraciły swoich synów, porwanych z ich własnych domów. Spojrzałam w zamyślane, wypełnione pustką ciemne oczy młodego chłopca, które wyrażały tęsknotę, złość i chęć zemsty na swoich oprawcach. Jego żal był zamaskowany bezradnością i poddaniem się sytuacji, w której się znalazł. Silne, pokaleczone ramiona z trudem utrzymywały wiosła. Twardziel, niczym maltretowany pies, był wypełniony niemocą. Jego ciało melancholijnie podporządkowało się rytmom płynącym ze smutnego bębna.

Śledząc ludzkie losy miałam cichą nadzieję, że pojawię się w końcu gdzieś na ziemi w miejscu sielankowym, spokojnym i pięknym, w którym nie ma przemocy. Coś w stylu „wsi spokojnej, wsi wesołej”, którą tak sobie cenił Jan Kochanowski. Niestety miejsca, w których się pojawiałam przypominały mi coraz bardziej o wielowiekowej degeneracji społeczeństwa. W swojej historii nasza globalna wioska doświadczyła mnóstwo konfliktów zbrojnych. Liczne walki o ziemię poszerzały granice, zagrabiając tereny innym narodom. Jako przeciwnik jakichkolwiek starć zbrojnych, które moim zdaniem nie rozwiązały do dzisiaj żadnego problemu, najbardziej zawsze intrygowały mnie wojny, które ludzie potrafili ciągnąć latami. Wojna stuletnia, która trwała przez 116 lat pomiędzy Anglią a Francją w XIV i XV wieku; czy wojna osiemdziesięcioletnia w XVI wieku, w której Niderlandy walczyły o wolność od panowania króla hiszpańskiego, należą do niezrozumiałego dla mnie



experienced a very long fight for independence after series of three partitions that occurred in the second half of XVIII century, wiping out Poland from the map for 123 years.

Great Pole in Rapperswil

Moving down the long corridors, I saw portraits of people who lived in the Rapperswil Castle in different time periods. Fantasizing about the lives of these people, I “heard” friendly voices. Whisper wafted through the castle creating a delicate echo, from which I could slowly understand the meaning of the words. Timidly I peeked into the room. Heavy curtains, attached on the sides of the big windows, let in little streams of light, in which dust particles floated. Three people, from the pictures decorating the high walls, showed up in the gloom of the room. As always, not paying any attention to me, the two of them were elegantly sitting at the round, small table drinking tea. Round ceramic cups sonorously clicked against the saucers. The man with a dark moustache and round beard, standing in front of his desk, was showing them some memorabilia. I watched them curiously. In my imagination I created snapshots from the life of a man who leased the castle for 99 years, restoring a falling apart medieval building. I do not know anybody who could stand with such grace. Gracefulness was practiced from the childhood and no actor today could move the same way. Well, maybe with the exception of an English actor, Hugh Grant. Plater, a proud man, standing straight with his head up high, was gesticulating as if he was leading the orchestra. Any man at present day could envy his elegance. Gentlemen wore black frock coats and white shirts with high, starched collars that were decorated with neck scarves. “Real gentlemen that vanished just like dinosaurs,” I thought. The woman wore a cream-color dress with puffy -- like dandelion flowers -- tulle sleeves. A blue-ruby shawl



fenomenowi działań człowieka. Moja ojczyzna również przeszła przez długą walkę o wolność po serii trzech rozbiorów, które dokonały się w drugiej połowie XVIII wieku, wymazując Polskę z mapy świata na 123 lata.

Wielki Polak w Rapperswil

Przemieszczając się długimi korytarzami, widziałam portrety osób, które mieszkały w Zamku Rapperswil w różnym czasie. Fantazując na temat życia tych ludzi „usłyszałam” przyjazne głosy. Szept rozchodził się po zamku, tworząc delikatne echo, z którego powoli wydobywałam znaczenie słów. Nieśmiało zerknęłam do salonu. Ciężkie zasłony, zaczepione po bokach wysokich okien, przepuszczały niewielkie strumienie światła, w których unosiły się drobinki kurzu. W półmroku pojawiły się trzy osoby, które widziałam wcześniej na obrazach ozdabiających wysokie ściany. Jak zwykle, nie zwracając na mnie uwagi, przed małym okrągłym stolikiem, elegancko siedziały dwie osoby popijając herbatę. Okrągłe, porcelanowe filiżanki dźwięcznie stukały o ceramiczne spodki. Mężczyzna z ciemnym wąsem i okrągłą bródką, stojąc przed swoim biurkiem pokazywał im jakieś memorabilia. Przyglądałam się im z ciekawością. W swojej wyobraźni tworzyłam obraz z życia człowieka, który wydzierzał zamek na 99 lat, remontując popadającą w ruinę średniowieczną budowlę. Nie znam nikogo w dzisiejszych czasach kto potrafiłby stać z taką gracją. Wdziek był wówczas ćwiczony od dziecka i żaden aktor nie umiałby poruszać się dzisiaj w ten sam sposób. No może z wyjątkiem angielskiego aktora Hugh Granta. Plater, człowiek dumny, stojąc prosto z uniesioną lekko głową, poruszał rękoma jakby dyrygował orkiestrze. Jego elegancji mógłby pozazdrościć niejeden dzisiejszy mężczyzna. Panowie mieli na sobie czarne surduty i białe koszule z wysokimi, wykrochmalonymi



was drooping on her half-round, deep cleavage. XIX century clothing was still full of lavishness, however, it became smaller in size. Enormous, supported with chassis XVIII century dresses that were abundantly embellished with ribbons, flowers, fringes, and ruffles were replaced by robes that became more comfortable. Also, being the pieces of art hairstyles went through metamorphosis. The hair of the lady was curled tightly into spirals, on the sides of sleekly parted bangs. Long, pearl earrings in the shape of tears were moving gracefully, accentuating her slender neck. I must admit that Karolina Bauer – the wife of count Broel-Plater – was the quintessence of femininity. An actress by occupation was seducing without being too self-assertive. It was hard to stop looking at her and focus on the task at hand that was commemoration of great Poles.

Plater created the Polish Museum in Rapperswil in 1870. The fall of the Kraków Uprising, the November Uprising, the Wielkopolska Uprising, the January Uprising, and repressions associated with the fight in order to free the territory of his nation after the partitions of Poland, left his motherland in dramatic situation. Plater was saving whatever was left of Polish nature, supporting the countrymen on emigration, publishing a Polish magazine in France: „Le Polonais,” and cooperating with the prince Czartoryski and other influential people that he engaged in helping his mother country. In the past the museum had accumulated 100 thousand of Polish books and other rich collection of handwritten documents, art, and relics. Among them there were the documents of Stanisław August Poniatowski, Constitution of May, and materials describing the story of the legions of Jan Henryk Dąbrowski. Today we can admire in the museum the art of famous artists, such as the works of Józef Chełmoński, or profile of great Poles, such as: Nikolaus Copernicus, Frederic Chopin and Marie Skłodowska-Curie.



kołnierzykami, które ozdabiały związane przy szyi apaszki. „Prawdziwi dżentelmeni, którzy już dawno wyginęli jak dinozaury” pomyślałam. Kobieta miała na sobie kremową suknię z bufiastymi jak dmuchawce rękawami. Niebiesko-rubinowy szal lekko spływał na jej półokrągły, głęboki dekolt. Ubrania w XIX wieku wciąż były pełne przepychu, choć zmniejszyły się ich rozmiary. Ogromne, podtrzymywane stelażem XVIII-wieczne suknie, które były obficie dekorowane kokardami, kwiatami, frędzlami i falbanami, dały ujście na rzecz stroju, który stał się bardziej wygodny. Również będące dziełem sztuki wysokie fryzury uległy metamorfozie. Włosy siedzącej w salonie damy były mocno skręcone w spiralki oraz spięte po bokach, rozdzielonej przedziałkiem, grzywki. Długie perłowe kolczyki damy w kształcie łez poruszały się wdzięcznie, podkreślając jej smukłą szyję. Muszę przyznać, że Karolina Bauer – żona hrabiego Władysława Broel-Platera – była kwintesencją kobiecości. Aktorka z zawodu, uwodziła bez robienia tego na siłę. Trudno było oderwać od niej wzrok i skupić się na celu spotkania, którym było stworzenie muzeum upamiętniającego wielkich Polaków.

Muzeum Polskie w Rapperswil zostało stworzone przez Platę w 1870 roku. Upadek powstania krakowskiego, listopadowego, wielkopolskiego, styczniowego, oraz represje związane z walką o wolność po rozbiorach Polski pozostawiły nasz kraj w dramatycznej sytuacji. Plater ratował to co jeszcze pozostało z polskości, wspomagając rodaków na emigracji, wydając m.in. pismo polskie we Francji: „Le Polonais”, czy współpracując z księciem Jerzym Czartoryskim i innymi wpływowymi osobami, które angażował do pomocy swojej ojczyźnie. Muzeum posiadało w przeszłości bibliotekę składającą się ze 100 tysięcy polskich książek, oraz wiele innych bogatych zbiorów rękopisów, dzieł sztuki i pamiątek. Do niektórych z nich należą dokumenty Stanisława Augusta Poniatowskiego i Konstytucji 3 maja oraz



While visiting Rapperswil I was nicely surprised by my discovery of the Polish Museum, somewhere in the middle of a small Swiss town. I am always proud when I encounter Poles who promote our country, and who do not shatter its name. Plater was engaged in Polish affairs, devoting his own wealth and time in order to redeem stolen, by other nations, country. Although Plater didn't live to see the day of regained independence, his great heart and love to his homeland contributed to saving what was Polish, and in effect, to leave behind an inheritance that we can admire today. Plater was born to serve his country, for which, paraphrasing Horace, he would "die sweetly and honorably."

Return to Reality

Leaving the castle I was a bit dreamy and I returned to reality of the modern world with great difficulty. "Ech... I miss people like Plater today," I thought with regret. I heard loud laughter of some teenage girls that walked by me, boldly flaunting their tight leggings and loose shirts, showing off the colorful stripes of their bras. Down the hill, I heard the noise of rushing cars and conductors blowing the whistles, announcing train departures from the station. Natural sounds such as the ones of shoeing the horse; of delicate rustle of a lady's dress walking in the park; of women calling the lovers to buy the flowers at their stands; of the bicyclist riding on a velocipede whose wooden wheels hit the stone street; or of the laughter of the children playing outdoors, have disappeared forever. Chaos of modern life was hovering in the air, creating as clear as mud body of matter that became life on its own. Somebody from the past, who could, somehow, follow our fate, would lose himself in this turmoil. People nowadays – who



materiały do dziejów legionów Jana Henryka Dąbrowskiego. Dzisiaj możemy podziwiać w muzeum dzieła sławnych ludzi, na przykład Józefa Chełmońskiego, oraz sylwetki wielkich Polaków w tym Mikołaja Kopernika, Fryderyka Chopina i Marii Skłodowskiej-Curie.

Zwiedzając Rapperswil byłam miło zaskoczona odkryciem Muzeum Polskiego gdzieś w małym miasteczku szwajcarskim. Zawsze jestem dumna kiedy napotykam w swoim życiu Polaków, którzy promują naszą ojczyznę. Plater był zaangażowany w sprawy polskie, poświęcając swój czas i majątek w celu ratowania zagrabionego przez innych kraju. Chociaż nie ujrzał on za swojego życia odzyskania niepodległości przez Polskę, jego wielkie serce i miłość do ojczyzny przyczyniła się do ratowania tego co polskie, a w efekcie do pozostawienia po sobie wielkiej spuścizny, którą możemy podziwiać do dzisiaj. Plater urodził się, żeby służyć swojej ojczyźnie, za którą, parafrazując Horacego, w każdej chwili i bez wahania „umarłby słodko i zaszczynie”.

Powrót do rzeczywistości

Wychodząc z zamku byłam trochę rozmarzona, z trudem powróciłam do współczesnego świata. „Ech... Brakuje mi dzisiaj takich ludzi jak Plater” – pomyślałam z rozżaleniem. Usłyszałam głośny śmiech nastolatek, które przeszły obok mnie śmiało parując w obcisłych legginsach i opadających im z ramion luźnych koszulkach, ukazujących kolorowe paseczki od biustonoszy. W dole wzgórza słychać było gwar miasta, pędzące samochody i konduktora oznajmiającego gwizdkiem odjeżdżający pociąg z pobliskiej stacji kolejowej. Znikły na zawsze naturalne dźwięki podkuwanego konia; delikatnego szmeru sukni przechadzających



are supposedly free human beings – always rush somewhere, take care of different things, trying to get hold of their lives, becoming slaves by choice. We dismiss from our minds that we belong to the group of “Homo Sapiens” and not “Homo Doings.” We don’t stop; don’t look around to check if the Sun is still shining for us. Paradoxically, the “smaller” this world becomes and more horizons open up, more “constricted” we become in our thinking. And we forget that we are evolving into one big family that we should take care of. Patriotism, in my opinion, should not be based today on love to one country but on commitment to the entire human community. Our patriotism should be inspired by such people like Plater who was a dreamer and visionary, somebody who was building, supporting, and creating a better tomorrow for generations to come. However, our times require taking our patriotism to another level, encompassing a wider group of people, and on a wider scale. Richard Aldington defined patriotism as an “alive feeling of group responsibility.” I feel responsible for the entire Earth and fate of all of the nations. The WORLD is my home. I am wondering what would Plater say on that?

AT



się parkowymi ścieżkami dam; kobiet na straganie nawołujących kochanków do kupienia kwiatów; rowerzysty jadącego na „welocypedzie”, którego drewniane koła obijały się o kamienną drogę; czy śmiechu bawiących się na podwórku dzieci. Chaos nowoczesnego życia unosił się w powietrzu, tworząc zagmatwaną masę, która tętniła własnym życiem. Ktoś kto miałby możliwość śledzenia naszych wydarzeń w przeszłości, zagubiłby się w tym mętliku. Ludzie w dzisiejszych czasach – ludzie wolni – ciągle gdzieś biegną, załatwiają różne sprawy, starając się ogarnąć swoje życie, stają się niewolnikami z wyboru. Zapominamy, że należymy do grupy „Człowieka Myślącego” a nie „Człowieka Harującego”. Nie przystajemy, nie rozglądamy się, żeby sprawdzić czy słońce jeszcze dla nas świeci. Paradoksalnie, im bardziej „zmniejsza” się ten świat, gdyż poszerzają się jego horyzonty, tym bardziej zawęża się nasze myślenie. Wszystko staje się częścią zwykłej sensacji, którą potrzebujemy w coraz to większej dawce w celu rozwiania negatywnych emocji. A przecież ewoluując, stajemy się jedną wielką rodziną, o którą powinniśmy dbać. Patriotyzm, moim zdaniem, nie powinien opierać się dzisiaj na miłości do jednego kraju, ale do poświęcenia się dla całej wspólnoty ludzkiej. Nasz patriotyzm powinien być zainspirowany przez takich ludzi jak Plater, który był marzycielem i wizjonerem, kimś kto budował, wspierał i tworzył lepszą przyszłość dla swoich pokoleń. Z tym, że dzisiejsze czasy wymagają patriotyzmu, który wzniesiemy na inny, wyższy poziom, oraz objęcia patriotyzmem szerszego grona ludzi na większą skalę. Richard Aldington określał patriotyzm jako „żywe poczucie zbiorowej odpowiedzialności”. Ja czuję się odpowiedzialna za ziemię i losy wszystkich narodów. ŚWIAT jest moim domem. Jestem ciekawa co by na to powiedział dzisiaj Władysław Broel-Plater?

AT



